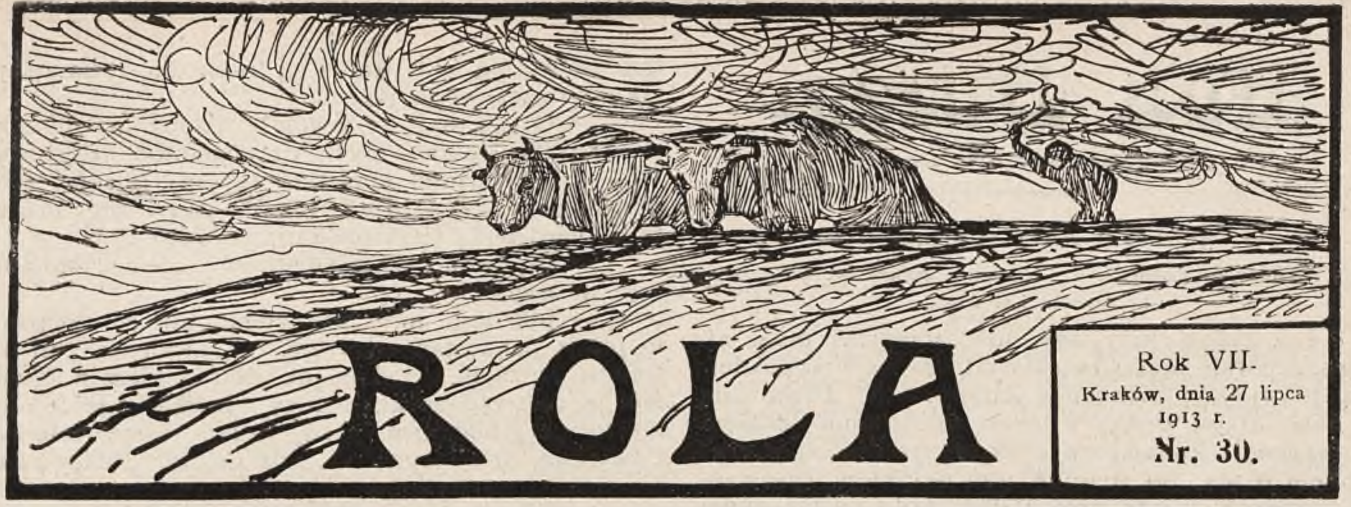


ROLA

Rok VII.
Kraków, dnia 27 lipca 1913 r.
Nr. 30.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 3 do 6. Telefon nr. 2346.

Żniwa.



Szumią, szumią nasze kłosy
Na piastowskiej niwie,
Wydzwaniają sierpy, kosy,
Pieśń o polskiem żniwie...

W pszenic toni, zbóż głębinie
Przepiórka już woła:
„Pójdźcie żąć!" — a głos jej płynie
Hen nad wioski, sioła...

Z pod strzech barwne żeńców roje,
Jak pszczoły skrzydlate,
Wylatują na trud, znoje,
Na pola bogate...

Przodownica, nucąc, w tany
Wiedzie z kłośną falą
Żeńców — płaczą rosą łany,
Smucą się i żalą...

Kłania się kłos matce-ziemi
I pod sierpem pada;
Cicho — ziarnami złotemi
Snop za snopem składa...

Słońce coraz wyżej świeci,
Na zachód odpływa..
I czas szybko mija, leci,
Zboża wciąż ubywa...

Wieczór idzie — błyszczą zorze...
Skończyły się żniwa...
Twarz zroszona potem gorze,
Radosna, szczęśliwa.

Tam przed dworem, przed lipowym,
Dziedzic stoi w ganku...
Wita go gromada nowym
Plonem w kwietnym wianku:

„Plon ci niesiem, żyto nowe
Pszenicę jak złoto...
Bławat i kwiaty habrowe,
Tchnące z się prostotą...

Zeżęliśmy całe pole,
Jak długie, szerokie,
Zeżęliśmy i kąkole,
Kwiaty modrookie.

Plon ci niesiem, żyto nowe —
Pełne twe stodoły,
Więc nas posadź na dębowe,
Zastawione stoły...

Przyjmij, jak ojciec, łaskawie
Serc naszych daniny,
Bądź dziś z nami na zabawie,
Przyjm wieniec Haliny".

Dziedzic dzięki szczere składa,
Za stół żeńców prosi,
Sam w środku ludu usiada —
Służba miód przynosi...

Leje się miód-lipiec strugą,
Młódź wiedzie pogwarki,
Baśń się snuje nicią długą,
Jakby przędza Parki).*

Bartosz stary swojską gwarą
Gawędę zaczyna,
Jakto niegdyś z polską wiarą
Bił po łbie Turczyna...

O tej ziemi śpiewa krzyżów,
O tej Ukrainie,
Gdzie jarami skalnych niżów
Dniepr srebrzysty płynie...

O kaskadach, o porohach,
O stepach zielonych,
O ojczystych kościach, prochach
W ziemicy złożonych...

Snuje się wspomnienia echo
Przed dziedzica oczy,
Łączy go z wieśniaczą strzechą
Czar gawęd uroczy...

Gra skrzypica tam pod ścianą,
Bas jej huczy wtórem,
Tan kręci rozkołysaną
Młodzią długim sznurem.

Choć noc późna, sen nie morzy,
Ni powiek nie klei,
Bo dziś nocka, dzionek boży
Spełnionych nadziei.

Brzask już świta... liliowe
Budzą się niebiosa,
Rumienią się chmury płowe,
Błyszczy ranna rosa.

Czas do domu... dziś niedziela,
Czas na wypoczynek,
Koniec szczęścia i wesela,
Koniec już dożynek.

Władysław Łukasik.

---

*) Parki, według wiary Greków, boginie snujące nić życia.

Rok Burzy.

(Opowiadanie porucznika z r. 1863).

38. DOM ZAMOYSKICH.

Rady Adolfiny. — Pokój Nr 6. — Zebranie zamachowców. — Bomby, strzelba i trucizna.

Bez żadnej przygody, nie zaczepiani przez nikogo, zupełnie szczęśliwie dostaliśmy się wraz z Adolfiną do wielkiej kamienicy Zamoyskich. Przez całą tę dość długą drogę z mego mieszkania, miałem dziewczynę o kilkanaście kroków przed sobą, nieraz drżałem o nią, bo strzelba pod okryciem rysowała się wyraźnie, a gdy przechodziła koło posterunków policyjnych, zdawało mi się, że wszyscy na nią patrzą i przytrzymają ją natychmiast. Ale, powtarzam, na szczęście nikt ani jej, ani mnie nie zaczepił i przybyliśmy cali i zdrowi do miejsca naszego przeznaczenia.

Dzień był ciągle gorący i cichy, ale zauważyłem, że na Przedmieściu Krakowskiem ruch jest mniejszy niż zwykle i przechodnie byli dość rzadcy. Sama kamienica, z której spiskowcy mieli dokonać zamachu na gubernatora, był to duży gmach, silnie zbudowany, na cztery wznoszący się piętra, zaludniony bodaj czy nie przez parę tysięcy osób. Wszędzie też na schodach, na korytarzach spotykaliśmy mnóstwo wchodzących i schodzących mężczyzn i kobiet, tak, że nasze pojawienie się niczyjej nie mogło zwrócić uwagi. Wszędzie był spokój, płynęła leniwie codzienna fala życia powszedniego, unosiło się nad tem wszystkiem pogodne niebo i nikt nie przypuszczał, że mężczyzna w kapeluszu naciśniętym na oczy, poprzedzany przez dziewczynę w dziwacznym płaszczu, niesie ze sobą burzę i pioruny, które ten spokój zakłócą, które tę cichą falę zamącą i wiele klęsk i ruin sprowadzą. I w rzeczy samej, pnąc się po schodach coraz wyżej, takie myśli mi przychodziły do głowy i żal mi było tych ludzi tak spokojnych, cichych i względnie szczęśliwych, ale żal mi także było mego Karola, za którego krew, krew popłynąć powinna.

Na najwyższem piętrze, w długim, przyciemnionym nieco korytarzu Adolfina, dotąd mię ciągle poprzedzająca, zatrzymała się i rzekła:

— Nie wiem, gdzie iść.

— Proszę za mną. Tu, przy tym korytarzu jest szereg pokoików pojedynczych, a każdy oznaczony jest osobnym na drzwiach numerem — mówiłem do Adolfiny, rozwodząc się już nie wiem dlaczego nad rzeczą tak pospolitą. Ale na korytarzu było dość pusto, i głucho, i ciemno, i miło mi było słyszeć głos własny. Więc mówiłem dalej:

— Nam trzeba numeru szóstego. Jak panna zobaczysz ten numer, zapukaj śmiało do drzwi, a najlepiej wprost wejdź.

Szedłem obok niej i mówiłem to wszystko, aby coś mówić, bo panująca tu pustka po ruchliwem życiu na ulicach i innych piętrach, dziwnie mię raziła i przygnębiająco na mnie działała. Nagle Adolfina, która nic się nie odzywała, tylko pilnie przyglądała się numerom na drzwiach, zatrzymała się i rzekła półszeptem:

— Proszę pana.

— Czego chcesz, Adolfino?

— Chciałam się zapytać, co będzie potem... niby, co pan ze sobą zrobi?

— Co ja ze sobą zrobię? Ha, ha, ha! Raczej powinnaś powiedzieć, co ze mną zrobią. Prawdopodobnie wezmą mię stąd i za kilka dni rozstrzelają, jak nieszczęśliwego Karola.

— Głupstwo! — zawołała panna Adolfina — po co takie smutne myśli przypuszczać do głowy? I po co pan ma im sprawiać tę przyjemność, żeby dostali pana w swe ręce? Gdy im pan i inni umkną, to dopiero będą się wściekali, prawda?

— Zapewne... masz słuszność... ale czy zdołamy stąd umknąć?

— Jak tam inni, nie wiem... ale co do pana, to już ja pana stąd wyratuję. O, niech się pan nie śmieje. Ja znam ten dom jak własną kieszeń. Tu na tem piętrze zawsze akademicy mieszkali i ja do nich często przychodziłam, kiedy byłam jeszcze młodszą i świeższą dziewczyną. Każdą dziurę, proszę pana, znam tutaj na wylot.

— Więc cóż? — zapytałem, bo ta paplanina Adolfiny poczęła mię nudzić i drażnić, i jak wprzódy rad byłem rozmowie, tak teraz pragnąłem milczenia i ciszy.

— Nic, tylko... jak się to tam skończy... w tym pokoju, niech pan rzuca strzelbę i wypada na korytarz i zaraz kieruje się na lewo. Ja tam będę czekała, o... na zakręcie... jeżeli mię kto nie spędzi. Ale gdyby mię nie było, niech pan na to nie zważa, tylko biegnie na lewo. Na końcu korytarza napotka pan inne schody kuchenne... potem podwórze, ogrody, niech pan skacze przez mur i wyjdzie pan na ulicę sąsiednią... pan wie... tam jest ogród... należący do klasztoru... same są ogrody...

— Dobrze, Adolfino... dziękuję ci...

Odebrałem z jej rąk dubeltówkę i tak stałem z bronią w ręku na korytarzu, na pół słuchając słów dziewczyny, na pół bujając myślą gdzieindziej i w tej chwili mając to jedyne pragnienie, by się pozbyć Adolfiny i potoków jej słów, które mię nadzwyczaj drażniły.

— Proszę pana — zawołała, zatrzymując mię gwałtem, a jej spłowiałe oczy, ale zawsze jeszcze ładne, zajaśniały w półmroku korytarza gorączkowym blaskiem — proszę pana... czy pan dobrze spamiętał, co ja powiedziałam? Na lewo prosto przed siebie... ja tam będę...

— Spamiętam i do widzenia.

Stałem już przed numerem szóstym i gdym drzwi otwierał, zdawało mi się, że słyszę za sobą namiętne jakieś szlochanie i jęk jakiś...

Ale nie zważałem na to; całą moją uwagę zajął teraz pokój, do którego wszedłem i osoby w nim znajdujące się. Sam pokoik był niewielki, dość niski, o dwóch oknach, obu otwartych na oścież, a że ulica w tem miejscu była dość wąska, więc trzask przejeżdżających powozów i dorożek, gwar życia wielkomiejskiego przepełniał tę izdebkę. Była ona pustą. W kącie tylko stało jakieś łóżko ordynarne, pokryte również ordynarnym siennikiem, z którego słoma, starta na proch, sypała się, zaścielając dokoła brudną podłogę, pełną papierów i śmieci niezdecydowanego pochodzenia. W izdebce na łóżku siedział już Ryszard Wnętruski, rzucający dokoła dzikie spojrzenia, blady, prawie zielony, a garb na plecach zdawał mu się w tej pozycyi na pół zgiętej, jeszcze bardziej wystawać. Długie, cienkie nogi wisiały mu nad podłogą, a paznogcie namiętnie, zwyczajem swoim, ogryzał. Obok niego na ziemi leżał dobrze mi znany worek, z granatami Orsiniego. W głębi, w kącie, obok okna stali dwaj bracia Kraski i coś przytłumionym głosem ze sobą rozmawiali. Na twarzach ich znać było silne wzruszenie i wogóle rozczochranymi włosami, dzikiem, mętnem wejrzeniem robili wrażenie upiorów nie z tego świata; wrażenie nadzwyczaj przykre. A przez okna otwarte

wdzierał się do tej brudnej, przepełnionej atmosferą dręczącego niepokoju i oczekiwania izby, jasny, gorący promień słońca i zdawał się nieść ze sobą radość życia, spokoju i ciszy. W promieniu tym unosiło się tyiące pyłków ścigających i kołyszących się na jego złocistych blaskach. Z zewnątrz, z otwartego okna, nie wpadł nawet najlżejszy wietrzyk, któryby mógł zakłócić ten wir rojących się pyłów w promieniu słonecznym.

Gdym wszedł, wszyscy trzej obecni obejrzeli się na mnie z niepokojem, ale w niczem nie zmienili dotychczasowej swej pozycyi, ani też nie przywitali się ze mną. Bracia Kraski, obrzuciwszy mnie wzrokiem, dalej ciągnęli swą przytłumioną rozmowę w kącie, a Wnętruski przestał na chwilę ogryzać swe paznogcie, puścił długie nogi w ruch i z szyderskim na ustach uśmiechem, szepnął:

— Witam obywatela porucznika. I pan z tą bro.... bronią szedłeś przez miasto?

Nie widziałem potrzeby wtajemniczania go, kto niósł strzelbę, więc odrzekłem krótko:

— Tak!

— *Diable!* — syknął po francusku — mamy jeszcze szaleńców... mamy, uważa pan, Sam... Samsonów, którzy siłę swą tracą przy Dalilach.

Nie rozumiałem znaczenia tego biblijnego porównania i nie czas zresztą było na rozmyślania o tem, zwłaszcza, że Wnętruski przestał mówić, zamyślił się nad czemś i po dawnemu zaczął ogryzać paznogcie. Zapanowało poprzednie milczenie, mnie też chęć do rozmowy wcale nie brała. Siadłem na jakiemś połamanem krzesełku w kącie i patrzałem obojętnie przez otwarte okno na kawałek błękitnego nieba, które było stąd widać i na parę białych, nikłych obłoczków leniwie po niem pływających. Cisza w izdebce była głucha, zwłaszcza, że i zewnątrz, na ulicy życie codzienne jakby powoli zamierało. Dziwna rzecz, czy wiedziano o gotujących się wypadkach, czy domyślano się tylko, dość, że ulica pustoszała, coraz mniej na niej było przechodniów, coraz rzadziej ktoś przejeżdżał, coraz wyraźniej ruch ustawał.

Spojrzałem na zegarek, było wpół do trzeciej.

— Która godzina? — spytał Wnętruski, a gdym mu odpowiedział, rzekł:

— Ładnieby było, gdyby Ze... Zezowaty nie przyszedł. Uważa pan... żeby orga... organizator zamachu nie zjawił się. Napłółbym mu w ślepie...

Ale w tejże chwili na korytarzu rozległy się szybkie kroki, drzwi się otworzyły i wpadł przez nie Zezowaty, ubrany w błyszczący na głowie cylinder, w jasne palto letnie, z którego kieszeni sterczała szyjka butelki, owinięta w papier błękitny. Wpadł, drzwi za sobą zamknął starannie, spojrzał po nas i rzekł:

— Czołem... Wszyscy są? To dobrze. Spóźniłem się trochę, ale jeszcze dość czasu... Do okna panowie i uważać na dany znak!

— Na jaki znak? — spytałem.

— Na przeciwnym chodniku w danej chwili ukaże się kobieta...

Przerwał, spojrzał na mnie swym brzydkim wzrokiem i zawołał wesoło:

— A prawda, pan ją znasz... wszystkie ładne kobiety za panem wzdychają... wiesz? Teresa... dla której, jak mi opowiadano, romantyczno-rycerską robiłeś wyprawę na kolei. Ha, ha, ha! i mówią, że w naszych czasach niema już poświęceń miłosnych...

Mówił to, wydobywając z kieszeni butelkę i odwijając ją ostrożnie z papieru.

— Co tam przyniosłeś? Czy wi.. wino? — spytał Wnętruski.

— Nie... roztwór fosforu.

— I tak publicznie niosłeś go przez miasto?

— Tak, cóż w tem dziwnego? O, Ryszardzie! Jak ty mało masz jeszcze w sobie ducha i sprawności spiskowej. Toż to najlepszy sposób ukrycia czegoś, nie ukrywając wcale. Rozumiesz to, tępa głowo?

39. NIEUDANY ZAMACH.

Posterunki w oknach. — Sygnał Teresy. — Strzały i wybuchy. — Nadaremnie! — Przeraźliwa ucieczka. — Uratowany przez kobietę.

Przybycie Władka wniosło w nasze mroczne, niespokojne, niepewnością i oczekiwaniem znużone koło, pewne ożywienie, pewną atmosferę wesołości i obojętności. Wszyscy poczęli się uśmiechać, mówić głośno i żartować.

— Do okien! do okien! — wołał Władek. — Teresa lada chwila może się pojawić. Do okien, panowie, do okien! Już trzecia godzina, lada chwila gubernator będzie powracał ze swej codziennej przejażdżki, dla zdrowia żołądka czynionej. Ryszardzie, czegoż szukasz? Marsz do okna i przygotuj swe granaty. Tobie przypada lwia część zadania, na tobie spoczywają jedynie nadzieje, bo ani w strzelbę, ani w fosfor, ani w nic innego nie wierzę. Obywatele Kraski, bierzcie po jednym granacie!

Ubodła mię w ten sposób wypowiedziana wątpliwość w celność moich strzałów.

— Czy pan sądzisz, że chybię? — spytałem.

— Nic nie sądzę, ale obywatelu, żebyś strzelał nawet jak anioł, jeżeli anioły strzelają, to możesz chybić... do człowieka nie strzela się jak do celu, a przytem nie zrobi nam tej przyjemności, by jechał noga za nogą... No! wszystko gotowe? Trzecia godzina... Co u dyabła, Teresy nie widać i nic nie słychać...

Wychylił się przez okno, żeby spojrzeć na ulicę i między nami, umieszczonymi przy tychże oknach, zapanowało znowu milczenie pełne dreszczów tajemnych i dręczącego niepokoju oczekiwania. Stanąłem przy oknie wsparty na mej strzelbie, na kominki której starannie nałożyłem kapiszony i patrzałem na ulicę, prawie pustą.

Nagle po drugiej stronie ulicy na przeciwnym chodniku coś mi zamajaczyło. Tak, nie myliłem się, stała tam, wprost naszych okien, pani Teresa. Jak zawsze, ubrana była skromnie i ciemno, w małym kapelusiku miejskim na swych jasnych włosach, wyprostowana, zgrabna, zręczna. Stała i patrzała w górę i zdawała się szukać oczami naszych okien.

— Otóż i pani Teresa! — szepnąłem.

— Gdzie? gdzie? — zapytali wszyscy, wychylając się niespokojnie i gorączkowo.

Ale postrzegli ją zaraz i ona ich spostrzegła. Nagle podniosła rękę do góry, w której trzymała chustkę, poruszyła nią parę razy, jeszcze raz rzuciła za siebie okiem wstecz i na nas i krokiem wolnym znikła nam z oczu. Zdala, po bruku dudniał już powóz i rozlegał się donośny tentent pędzących kilkunastu koni.

Władysław chwycił butelkę z roztworem fosforu i począł ją gorączkowo, szybko odkorkowywać. Szło mu to niesporo, ręce mu drżały, ale nakoniec zadanie to, widocznie bardzo w tej chwili trudne, spełnił i z butelki unosić się począł biały dymek i zapach przykry. Wyprostował się, spojrzał po nas i zapytał:

— Wszyscy gotowi?

Byliśmy gotowi. Staliśmy przy oknach, ja z ręką na cynglu mej strzelby spokojny, milczący, poważny; obok mnie Wnętruski z dwoma granatami w rękach, trochę blady na twarzy i błądzący swemi oczami gdzieś po dachach wysokiego domu naprze-

ciwko. Jak się obaj Kraski przy drugiem oknie zachowywali, nie wiem, bom na nich nie patrzał, słyszałem tylko, jak ciągle szeptali coś między sobą.

Z ulicy coraz wyraźniej dochodził turkot pędzącego wyciągniętym kłusem powozu i tentent jeźdźców. Cała ta kalwakata jechała z trzaskiem po kamiennym bruku, z brzękiem i turkotem. Wychyliłem się nieco przez okno i ujrzałem namiestnika hrabiego Berga z adjutantem, siedzącego w otwartym powozie, w płaszczu lekko na ramiona narzuconym, a za nim pędziła konna straż jego przyboczna.

Przypomniał mi się nieszczęsny Karol Laskonogi, jego śmierć bohaterska i znowu w sercu mojem zapaliło się zarzewie zemsty, przyłożyłem strzelbę do oka, wymierzyłem i... strzał padł.

Przez szarą mgłę rozpływającego się dymu spojrzałem na ulicę i ujrzałem pędzący dalej powóz, wśród tententu koni, spinających się pod jeźdźcami, wśród wrzawy straszliwej. Widzenie to trwało mniej niż jedną dziesiątą sekundy, gdyż przekonawszy się o tem, żem chybił, przyłożyłem strzelbę po raz drugi do oka i, nic nie widząc prócz głowy gubernatora, o niczem innem nie myśląc, tylko o tem, żeby go zabić, wymierzyłem i w chwili, gdym ciągnął za cyngiel, ktoś mię gwałtownie potrącił. Strzał padł, ale najprzód huk jego zginął wśród innego o wiele donioślejszego i straszliwszego huku, a następnie byłem pewny, że i tym razem chybiłem.

Tym, który mię potrącił, był Wnętruski; niech go piekło pochłonie tego garbusa! Dla rzucenia swych granatów wychylił się także z okna i wtedy mię trącił. Granaty jego i braci Kraski padły na bruk kamienny i z hukiem i trzaskiem straszliwym popękały.

Ale mnie to już bardzo mało obchodziło. Byłem pewny, żem oba razy chybił. Przejęty wstydem, gniewem, wściekłością, rzuciłem na ziemię nieszczęsną dubeltówkę, nacisnałem kapelusz na oczy i pierwszy wyszedłem z tego fatalnego pokoju. Pamiętam, że w owej chwili o niczem innem nie myślałem, niczem nie byłem zajęty, tylko pytaniem, które mię niesłychanie dręczyło: jak się to stało, że ja chybiłem? i dlaczego chybiłem?

Tak mię pytanie to pochłonęło wyłącznie, że zapomniałem o radzie Adolfiny i zamiast na długim i ciemnym korytarzu skręcić na lewo, jak to ona tego żądała, poszedłem na prawo i stąpałem wolno, z głową spuszczoną, zamyślony głęboko, przypominający sobie wszystkie chwile zamachu. Ale nie uszedłem i dziesięciu kroków, gdy rozległy się za mną szybkie i lekkie stąpania i szelest sukni kobiecej. Adolfina, zdyszana mocno, chwytająca gwałtownie powietrze piersiami, dopadła do mnie i zatrzymując mnie, wołała:

— Nie tędy! Nie tędy! Za mną! Śpiesz się pan na rany Chrystusa! Czy pan nie słyszysz?

Ocknąłem się z mojej zadumy. Straszliwa wrzawa w całym domu panowała, jakiś chaos, krzyki, zamęt trudny do określenia. W tejże chwili drzwi od pokoju, w którym zostawiłem moich współtowarzyszy, roztworzyły się gwałtownie i wszyscy w szalonym pędzie rzucili się na lewo, na owe boczne schody kuchenne. Słychać było, jak biegli przez korytarz, który ciasny i wąski dudniał pod nogami czterech mężczyzn rozgłośnie.

Nie było w istocie czego tu czekać. Teraz dopiero zrozumiałem niebezpieczeństwo. Jeżeli dobrze nie użyję pozostałych mi kilku chwil, przepadłem. Należało się przecież spodziewać, że mógł mnie ktokolwiek zatrzymać, a dostać się w ręce mych nieprzyjaciół w sposób tak głupi, nie chciałem, nie dlatego, bym się bał śmierci, ale dlatego, że nie życzyłem sobie sprawiać im przyjemności. Adolfina przytem nalegała na mnie, nerwowym ruchem ciągnęła mię gwałtownie za płaszcz, nagliła, wołała ciągle z tonem nieopisanej grozy w głosie.

— Prędzej! Prędzej na rany Boskie!

Biegliśmy też jak szaleni, dopadliśmy do schodów, które tętniały już odgłosem zbiegających po nich moich czterech towarzyszy. Schody były wąskie, jednakże Adolfina, poprzedzająca mnie i pokazująca mi niejako drogę, przeskakiwała po dwa, po trzy i ciągle, nieustannie na mnie wołała:

— Prędzej! Śpiesz się pan, śpiesz!

Na szczęście na tych wąskich, ciasnych schodach, nikogo nie spotkaliśmy, ktoby nam drogę zagrodził, przeszkodził lub opóźnił ucieczkę. Na drugiem piętrze stało tylko przy drzwiach, prowadzących do kuchni, jakieś dziecko, dziewczynka może pięciotletnia i z wyrazem trwogi w swych jasnych, jak bławatki niebieskich oczach, patrzała na pędzącą gromadę mężczyzn. Nakoniec zbiegliśmy ze schodów i znaleźliśmy się na dole na dziedzińcu, przez który w paru skokach przesadziliśmy i znaleźliśmy się w ogrodzie. — Tu Adolfina schwyciła mię za rękę, gdym za innymi chciał skręcić na lewo.

— Nie chodź pan tam, chodź pan za mną, tu jest daleko bezpieczniej.

Jakoż, ślepo posłuszny tej dziewczynie, pobiegłem za nią; przez dość niski mur, który Adolfina ze zręcznością kotki przeskoczyła, przedostałem się prędko do drugiego, klasztornego ogrodu. Stąd, gdzie, dziwna rzecz, nikogo nie spotkaliśmy, znowu przez mur, znacznie wyższy, który nam drogę zagrodził, musieliśmy się przeprawiać. Po wrzawie dotychczasowej, po strasznym zamęcie i trzasku, oto czyła nas tu, w tym drzemiącym pod jesiennem słońcem, ogrodzie, zupełna cisza. Adolfina zatrzymała się przy murze, przycisnęła rękami swe piersi, gwałtownie podnoszące się i opadające, odetchnęła głęboko i patrząc mi w oczy, rzekła:

— Niech pan wdrapie się wprzódy i ucieka.

— A ty? Przecież cię zostawić nie mogę

— Niech się pan o mnie nie boi, ja tu nie zostanę. Jak pan przejdzie, to mi rękę poda i koniec. Ale niech pan nie stoi, niech pan czasu nie traci!

Dziwna rzecz, ta dziewczyna niby bezwstydna, wobec mnie była najczystszą i najwstydliwszą, nie chciała pierwsza przez mur przechodzić dla niczego innego, tylko dlatego. Wdrapałem się więc na mur, bo w rzeczy samej czasu nie można było tracić; znajdowaliśmy się w obcym i do tego w klasztornym ogrodzie, lada chwila mógł nas kto zobaczyć, narobić krzyku i sprowadzić wcale niepożądanych dla mnie teraz gości.

Ale przedostaliśmy się szczęśliwie z Adolfiną przez mur i znaleźliśmy się na podwórzu jakiegoś domu, przez który przeszedłszy, wyszliśmy na ulicę. Tu widocznie odgłos zamachu już doszedł, bo widać było pewien niepokój, przechodnie śpieszyli się, szeptali między sobą, a nawet dojrzałem pędzącego zdala wyciągniętym kłusem żandarma. Wszystko to kazało nam jak najśpieszniej stąd oddalić się, co też uczyniliśmy. Adolfina, trzymając się swej zasady, że mężczyzna porządny nie powinien z taką, jak ona, kobietą pokazywać się na ulicy, nigdy nie tracąca przytomności, puściła mię przed siebie i zdala szła za mną. Przyśpieszyłem kroku i w pół godziny potem znalazłem się cały i bezpieczny w mem cichem schronieniu przy ulicy Złotej, gdzie w kuchni pani Franciszka przyjęła mię milczącem uściśnieniem dłoni i krzyżem zrobionym na mem czole.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Najazd barbarzyńców.



Wędrówki ludów odbywają się od wieków. Gdy komu w swojej ojczyźnie niedobrze, szuka w obcych stronach lepszej doli. Dziś pojedynczo i po kilku udają się ludzie w obce strony, aby tam znaleźć pracę i polepszyć swój byt. Jadą więc ludziska do Prus, do Ameryki a nawet Kanady i Brazylii. Ale jazda dzisiejsza bezpieczna i wygodna. Siada się do wozu kolejowego lub na okręt i jedzie się, gdzie kto chce.

Przed wiekami było inaczej. Gdy jakiemuś narodowi było źle na ojczystej ziemi, zbierał wszystko, co miał, i szedł w inne strony szukać lepszych warunków. Jeżeli natrafił na ziemie niezamieszkane, jak to zrobili Lech, Czech i Rus z swoim orszakiem, to osiedlał się bez kłopotu i prowadził dalszy żywot na nowej ziemi. Inaczej atoli było, gdy najeźdzcy naszli ziemię zamieszkałą. Siłą wypierali tubylców i ich siedziby zajmowali. Dawni mieszkańcy bronili się z całych sił, ale z czasem uchodzili przed napastnikami. W ten sposób zawładnęli południowymi krajami Europy najezdzcy z Małej Azyi. Taki właśnie najazd barbarzyńców i ucieczkę dawnych mieszkańców przedstawia powyższy obrazek.

W drodze do obozu.

(Obrazek z powstania styczniowego).

I. Na Moskala.

— Albo wszyscy, albo żaden! — zawyrokował p. Jerzy Jasieński, dziedzic Bieńkowic, stojąc wśród gromadki wieśniaków.

— Wszyscy, panie! — oświadczyli jednogłośnie chłopi.

— Więc pójdziemy, niech się dzieje wola Boska. Tam, do Królestwa, pod dowództwem mego syna ruszyli niedawno w bój za Ojczyznę wasi sąsiedzi i spisali się dzielnie. Właśnie dzisiaj otrzymałem przez tajnego posłańca wiadomość, ze oddział powstańców, do którego nasi zaciągli, nagłym napadem zniósł do szczętu kilka rot kozaków. Lecz Janek pisze, że ludzi ubywa od niewygód i kul Moskali, a wrogów zbliża się nad granice coraz więcej. Prosi o posiłki: wy iść pragniecie! Po co? Na śmierć niechybną! Czy wróci z nas który do rodzinnej wsi?

— Bić Moskali, bo rodaków gnębią — przy nas słuszność sprawy — Bóg dopomoże — o swoje walczymy! Chłopi my, ale w sercach naszych bije krew polska. W obronie Ojczyzny i życie złożymy! — odezwały się z zapałem gorące głosy wieśniaków.

— Wysłałem już syna — dorzucił Kasper Przewoźnik, sławny przemytnik — pan dziedzic mówi, że się nasz oddział dobrze spisał, oby mój Franek był między pierwszymi! Trzeba ludzi? ja choć stary, idę na ochotnika i jeszcze niejednego żołdaka uśmiercę... Przydam się wam, bo znam całą okolicę, jak swoje osiedle, dojdziemy do swoich, a wtedy...

— To najważniejsze, by się dostać do powstańców, złączyć się w gromadę. Wiemy przecież, jak gęste są patrole nadgraniczne, że się przez nie mysz nie prześnie! Na brzegu Wisły cię chwycą i stracone wszystko.

— A od czego głowa i ręce, panie dziedzicu? Bo mi to są dziwne starcia z Kozakami? Czego nie dokaże pięść, to poprawi podstęp — a żołdaki kaukazkie to głupie ludziska. Tylko iść, z pomocą Bożą, do lasów sandomierskich dojdziemy szczęśliwie, a tam już spotkamy oddziały powstańców — zapewniał Kasper.

— Więc zgoda! We dworze przygotują pożywienie, które zabierzemy z sobą na kilka dni. Kto z was ma strzelbę, niech przyniesie, reszta może sobie wybrać z moich. Teraz śpieszcie do domu pożegnać się z rodziną. Gdy się dobrze ściemni, zejdziemy się na kopcu pod dworem.

— Pan dziedzic też idzie z nami?

— Moje dzieci! — odezwał się Jasieński serdecznie — tożby mię wstyd było, gdybym was wyprawił, a sam został w domu bezpieczny. Ziemia polska do obrony wszystkich nas woła, kto tylko może oręż udźwignąć, tego w szeregach powstańców nie powinno braknąć! Pójdę za synem, który — nie daj Boże! — może w tej chwili w zapadłych gdzie lasach głodem przymiera albo kona zraniony kulą ciemięzcy...

— O Jezu! ratuj ich, błogosław ich wysiłkom!

II. W drodze.

Było to w roku 1863.

W pochmurną noc czerwcową, około 11 godziny, oddział powstańców, złożony z 13 mężów, przeprawił się cichaczem przez Wisłę. Ochotnicy, stanąwszy na wyniosłym brzegu, nadsłuchiwali chwilę, czy z której strony nie doleci tętent patroli kozackiej, a następnie pomknęli żwawo miedzami poprzez stajania zbóż dorastających.

Oddział prowadził Kasper Przewoźnik. Ubrany w płowy »sinel« moskiewski, w butach z cholewami i w wysokiej baraniej czapce — podobnie byli ubrani jego towarzysze — zdawał się troić przed szeregami. Choć starzec 70-letni nie czuł ciężaru starości,

nie dał się wyprzedzić nikomu. Na rozbieżnych ścieżkach krakaniem zwoływał gromadkę i rozejrzawszy się w koło, pokazywał jej wyższy, ciemniejszy punkt zborny i z szeptem: Naprzód! sunął na przodzie we wskazanym kierunku.

Już minęli kilka wiosek, gdy zaczęło świtać, a że podróż w jasny dzień była niebezpieczna na wypadek spotkania wojska moskiewskiego, postanowiono ukryć się przez dzień i dopiero w nocy puścić się w dalszą drogę. Ale gdzie znaleść kryjówkę? Jasieński radził, by rozbiedz się po polach i w żytach czekać wieczornego hasła. Stanowczo ten plan odrzucił Kasper Przewoźnik:

— Co? Podzielić się? Nigdy! Wszak żołdacy węszą jak psi po polach, gonią na przełaj po zagonach, niech trafią na jednego z nas, wówczas zgubieniśmy wszyscy! Wyłapią nas jak szczupaków w sadzawce, bo przy naszem uzbrojeniu w pojedynkę niema co myśleć o skutecznej obronie. Mam ja plan inny. Miasteczko, które przed sobą widzicie, to Staszów. Tam zwykle zatrzymywałem się podczas wypraw z kontrabandą, znam jego mieszkańców, są to moi przyjaciele. U nich się schronimy! Nie lękajmy się zdrady z ich strony, bo mieszczanie, jeśli nie poszli do powstania, to mu gorąco sprzyjają i w razie potrzeby pewnie nam przyjdą z pomocą.

— Dobrze mówią! Staszowianie zuchy, w gromadzie chłop śmielszy — dorzucił Samolej.

— Toż i odpocząć musimy, a zawsze w chałupie, pod dachem człek spokojniej podrzymie. Wprawdzie od Staszowa dzieli nas jeszcze kilka kilometrów, lecz nim się zupełnie rozwidni, staniemy na miejscu. Dalej naprzód a patrzeć dokoła!

Jak gromadka duchów nocnych pomknęła drużyna powstańców do majaczącego w mroku Staszowa, gdzie po dwóch godzinach powitały ich pianiem koguty, a mieszkańcy, witający Galicyan radośnie, ukryli ich po strychach i stodołach

III. Kozacki oddział.

Niespełna w trzy godziny po przybyciu powstańców do Staszowa od strony Żabudzia, przez którą przeszedł nasz oddział, ukazało się na polach kilkunastu jeźdźców moskiewskich. Z rozmowy, jaką prowadzili między sobą, łatwo można było poznać, że wpadli na ślady powstańców. Gdzie się ukryli? Ilu ich jest — oto pytania, na które odpowiedź miała przynieść wysłana patrol dowódcy w Korczynie. Przeszukawszy więc po drodze parę wiosek i nie znalazłszy nic podejrzanego, zwrócili się kozacy w kierunku Staszowa.

Na widok jeźdźców, plądrujących po okolicy, w miasteczku zawrzało, jak w ulu przed rojem.

— Co poczniemy z powstańcami, kozacy ich szukają — odzywały się strwożone głosy.

— Nie budzić ich, niech śpią, dobrze ukryci; żołdaci przeszukają i odejdą! Czyż nam to pierwszyzna w podobnych wypadkach — radzili między sobą mieszczanie.

— Słuchajcie no: kozaków jest dwudziestu pięciu! Zbudzić powstańców, Moskali wciągnąć w zasadzkę i wytłuc, by żywa noga nie uszła, zaś w razie rozgłosu odpowiedzialność za napad spadnie na powstańców, którzy tymczasem mogą się złączyć z większym oddziałem — podsunął śmiały plan Paweł Gwozdecki, ślusarz staszowski a dzielny partyzant.

Pomysł Gwozdeckiego spodobał się ogólnie, zwłaszcza młodzieży, która przy nadarzającej się sposobności, chciała pomścić niepowodzenia Polaków w dotychczasowem powstaniu. Zapał wyrostków udzielił się i starszym, a sprężyną zamierzonego napadu był Kasper Przewoźnik, który, pomimo zmęczenia całonocnym marszem, nie położył się spać z innymi, lecz gdy się tylko dowiedział o patroli i planie mieszczan, pozbierał towarzyszy i z gotową bronią zgromadził ich na rynku. Zuchowate miny, ochota i pewność powstańców, że potyczka się uda, a nadto gorąca zachęta Przewoźnika, rozprószyła obawy bojaźliwszych.

— Co? Dwudziestu pięciu żołdaków bać się będziemy! Potośmy tu z tak daleka przyszli, by się w dziury przed Moskalem chować? Jest nas trzynastu zdecydowanych na wszystko — wrazie potrzeby nie odmówią nam pomocy dzielni Staszowianie. Bracia! za Ojczyznę słodką nam będzie śmierć, niech żyje Polska! — zapalał Przewoźnik zbierających się ochotników.

Więc rosły siły. Przeszło dwudziestu mieszczan i szlachty, uzbrojonych w dubeltówki, pałasze i kosy, zbiegło się na rynek, gdzie, okrzyknąwszy Gwozdeckiego dowódcą, czekało na rozkazy. Kobiety zaś i dzieci schroniły się do domów i ze strychów śledziły ruchy zbliżającej się wolno konnicy rosyjskiej.

Tymczasem powstańcy, prowadzeni przez Gwozdeckiego i Przewoźnika, nie tracąc czasu, ruszyli w aleję nadwiślańską, którą prawdopodobnie mieli wjechać Moskale do miasta. Tam, ukrywszy się w gąszczach i przydrożnej wiklinie, czekali hasła do walki. Kilka razy po gościńcu przeszedł się Gwozdecki, wskazując lepsze pozycye tym, których można było z drogi zauważyć, kosynierom wyznaczył dogodniejsze miejsca do natarcia — wreszcie donośnym głosem rozkazał:

— Ja staję na wstępie do alei od strony pól. W chwili, gdy ostatni żołnierz wjedzie w ulicę, gruchnę w niego z karabinu. Na to hasło niech każdy ze strzelców mierzy w żołdaka, którego zobaczy przed sobą. Pierwszy strzał w Moskali — drugi w konie. Po kanonadzie wypadną kosynierzy. A teraz cisza, słuchać mego strzału!

W alei i w całem miasteczku zaległ głuchy spokój.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks Paweł Wieczorek.

Co mi to za życie?

Co mi to za życie,
gdy łez pełne oczy;
Co mi to za życie,
gdy ból serce tłoczy;
Co mi to za życie,
gdy nikną marzenia
I szczęście a radość
w smutek się zamienia!?

Co mi to za życie,
gdy ból serce kraje;
Co mi to za życie,
co szczęścia nie daje;
Co mi to za życie,
co się ledwie toczy
A zamiast uśmiechu
łez w niem pełne oczy!?

Antoni St. Bassara.

CZARNA ZARAZA.

XV. Zjawienie się Czarnej Zarazy.

Pozorna śmierć hrabiego. Nadzieja nieśmiertelności. Hrabio! co czynisz? Dziwna niespodzianka. Znowu Czarna Zaraza.

Hrabia na Nidecku umierał.

Cóż może nauka wobec tej wielkiej walki życia ze śmiercią? W tej chwili ostatniej, gdy obaj niewidzialni zapaśnicy przewracają się i podnoszą naprzemiany, usiłując się zwyciężyć, w takiej chwili... cóż pomoże lekarz?

Musi tylko patrzeć, słuchać i drżeć.

Czasami bój się zawiesza, życie kryje się w twierdzę swoją, czerpiąc tam odwagę rozpaczy. Ale nieprzyjaciel umie tam za niem wtargnąć. Wtedy znowu wre walka, gorętsza, zażartsza, bliższa fatalnego rozwiązania.

A chory, zimnym potem oblany, bezwładny, z osłupiałemi oczyma, nic sobie także pomódz nie może. Oddech jego głęboki, zaznacza różne fazy tej przerażającej walki. A obecni patrzą na to i myślą: »Kiedyś ta sama walka powtórzy się dla nas. Śmierć zwycięska zadławi nasze ciało w swoich uściskach, jak pająk muchę. Ale iskra życia... ale dusza... ta rozwinie skrzydła i uleci ku niebiosom, wołając: »Spełniłam swój obowiązek, walczyłam mężnie!« A śmierć, patrząc na nią z dołu, nie zdoła podnieść się w te wyżyny: w objęciach swych trzymać będzie tylko trupa! O! jakąż pociechą jest nadzieja nieśmiertelności! Byłby barbarzyńcą i okrutnikiem ten, któryby ją chciał z piersi ludzkiej wydrzeć«.



Stara nie ruszała się.

Około północy straciłem już wszelką nadzieję co do hrabiego; konanie się zaczęło; puls prędki, nierówny ustawał chwilami, to znów ze wznowioną siłą uderzał.

Nie pozostawało mi zatem już nic, tylko patrzeć na śmierć tego człowieka; zrobiłem wszystko, co nauka dokazać może.

Byłem tak zmęczony, że chwiałem się na nogach, poleciłem więc Sperwerowi, żeby czuwał nad swoim panem, i zamknąłem oczy.

Biedny Sperwer! Nie mógł sobie darować mimowolnego wykrzyku:

— Hrabio Nidecku, co czynisz?« i darł włosy z głowy w napadzie rozpaczy.

Poszedłem sam do wieży Hugona, posiliwszy się wprzód cokolwiek. Dobry ogień płonął na kominku. Rzuciłem się w ubraniu na łóżko i wnet ogarnął mnie sen ciężki, niespokojny, męczący. Spałem tak, z twarzą zwróconą do okna, którego światło oblewało kamienną posadzkę.

Po godzinie może drzewo się wypaliło i, jak bywa w takich razach, płomień błyskał od czasu do czasu jaśniejszą iskrą i, rzucając czerwone smugi na ściany, drażnił mi powieki. Wpół senny otworzyłem oczy, chcąc się przekonać, skąd pochodzą te raptowne przejścia od światła do ciemności.

Czekała mnie najdziwniejsza niespodzianka.

Przed kominkiem, słabo oświetlona dogasającemi głowniami, rysowała się ciemna sylwetka Czarnej-Zarazy.

Zrazu wziąłem to za złudzenie, prosty skutek myśli, jakie mnie w ostatnich dniach zajmowały; uniosłem się na łokciu, wlepiając w to niespodziewane zjawisko rozszerzone obawą oczy.

Tak, to była ona. Siedziała w takiej samej postawie, w jakiej ją po raz pierwszy zobaczyłem, skulona, oplatając rękoma kolana i grzejąc się w milczeniu. Poznałem tę długą, suchą szyję, ten nos orli i zaciśnięte usta.

Strach mnie ogarnął.

Jakim sposobem dostała się tutaj? Jakim sposobem weszła na tę wysoką wieżę, zawieszoną nad przepaścią?

Wszystko, co mi opowiadał Sperwer o jej tajemniczej potędze, wydało mi się usprawiedliwionem. Lieverle, warczący na mur przyszedł mi na pamięć... Wcisnąłem się w głąb alkowy, zaledwie śmiąc oddychać i spoglądając na nieruchomą postać Czarnej-Zarazy, jak mysz patrzy ze swojej dziury na kota.

Stara nie ruszała się. Mruczała tylko niezrozumiale pod nosem.

Serce biło mi gwałtownie, obawa rosła z każdą chwilą.

Trwało tak może z kwadrans, gdy ogień, objąwszy jakąś nienaruszoną dotąd gałązkę, rzucił jasny snop światła na środek sali. Ten błysk ukazał mi dokładnie starą, odzianą w odwieczną suknię ze złotogłowiu barwy purpurowej, wpadającej w fiolet. Ciężka bransoleta okalała jej lewą rękę, a w gęstych siwych włosach, skręconych w węzeł na karku, świeciła złota strzała.

Było to jakby jakie zjawisko z czasów średniowiecznych.

Jednakże Czarna Zaraza nie mogła mieć względem mnie wrogich zamiarów: byłaby skorzystała z mego snu, żeby je uskutecznić.

Myśl ta uspokoiła mnie trochę, gdy nagle stara wstała i zwolna... zwolna... zbliżyła się do mego łóżka, trzymając w ręku zapaloną przed chwilą pochodnię.

Spostrzegłem, że wrok jej był bezprzytomny i nieruchomy.

Chciałem wstać, krzyknąć, ale członki odmówiły mi posłuszeństwa, ani jeden muskuł nie drgnął w mojem ciele, oddech nawet zatrzymał się na ustach.

A stara, pochylona nademną, przypatrywała mi się z dziwnym uśmiechem. Wzrok jej działał na mnie tak, jak działa wzrok węża na biedną ptaszynę: byłem jakby sparaliżowany.

Każda sekunda wydawała mi się wiecznością. Jakie były zamiary starej?

Byłem przygotowany na wszystko.

Nagle odwróciła głowę, nasłuchując, poczem przeszła pokój wielkimi krokami i otwarła drzwi.

Odzyskałem przecież trochę odwagi i przytomności. Silna wola postawiła mnie na nogi. Rzuciłem się za starą, która jedną ręką podnosiła pochodnię, a drugą przytrzymywała drzwi. Już miałem ją chwycić za włosy, gdy oto w głębi galeryi pod łukowatem sklepieniem, wiodącem na ów wał, łączący zamek z wieżą, zobaczyłem.. kogo?

Hrabiego Nidecka! (Ciąg dalszy nastąpi).



Naco się staremu przydała szkoła?

(Zdarzenie prawdziwe).

W pewnej wiosce żyło małżeństwo z sześciorgiem dzieci. Pędziło ono dosyć nędzne życie, jako wyrobnicy bez majątku, a żyło tylko z tego, co mąż zarobił. Jednego czasu, było to zimową porą, przyszła kobiecina z miasta, w którem sprzedała parę jajek, przynosząc za nie trochę soli, mydła i dzieciom po obwarzanku. Po małej chwili rzekła do męża:

— Wiesz ty co, chłopie? Jakem szła do domu, przyszło mi do głowy, że my byśmy tak biedy nie cierpieli, gdybyś ty cośkolwiek umiał pisać i czytać. Ot, taki pisarz gminny! Mój Boże! Co to za poważna osoba, jak go też to ludzie szanują i poważają. Prawa ręka wójta! Gdy ma jakie kłopoty gminne, to jak napisze suplikę albo duplikę, to wójt zawsze sprawę wygra. Albo, na to mówiąc, i pan organista, co to też za powaga; to pół jegomości, bo przecież jegomość bez niego toby i ślubu nie dali. A jak go to ludzie poważają; chłopi kapelusze przed nim zdejmują, dziewuchy po rękach całują — osobliwie te, co się żenią, bo jak im zaśpiewa i zagra »Veni Creator«, to aże się cała dusza w człowieku raduje. A to wszystko ma do zawdzięczenia, że pisać i czytać umie. Więc i mnie tak do głowy przyszło, żebyś ty tak przez zimę chodził do szkoły, a bądź pewien, że nam się los poprawi. Widzisz, jak to nasz mały Józiu, choć dopiero drugi rok chodzi do szkoły, a już pisze nie najgorzej i takie śliczne rzeczy nieraz opowiada, co aże go nieraz uściskam i ucałuję za to. To samoby i ciebie spotykało, gdybyś się tak dobrze uczył.

Chłopu się to jakoś nie bardzo udało, że nie da rady nauce, ale po kilku słowach zachęty kobiety, zwłaszcza z powodu ostatniej obietnicy z jej strony, po małej chwili namysłu przystał.

Po paru dniach wybrali się oboje do szkoły. Kobieta wzięła parę jajek do koszyczka panu nauczycielowi. Zaszedłszy i pochwaliwszy Pana Boga, przywitali nauczyciela, który ich zapytał, czego sobie życzą. Kobieta, schylając się mu do kolan, rzekła:

— Przyprowadziłam też panu do nauki do szkoły.

— A kogóż? Czy drugiego syna? — pyta nauczyciel.

— Nie! Tylko ojca — odpowiada kobieta.

Nauczyciel się uśmiechnął, widząc chłopa już podletniego, ale po wielkiej prośbie ze strony kobiety, przystał. No i zaczęły się dni dla chłopa przykre i uciążliwe; nauka szła mu bowiem bardzo tępo, a do tego i dzieci miały z niego dużo pociechy, gdy zasiadał z niemi wspólnie do ławki.

Po powrocie do domu kobieta, spełniając obietnicę, podgłaskuje chłopa i pyta się go:

— No, cóż się ta uczysz i czy już coś sobie zapamiętał?

— Aj, nauczyłem się, że chociażby cię piekli w smole, to nie trza kląć w szkole. Ale ja nie wiem, czy się od tego powstrzymam, bo mało mniej mam do zniesienia, jak żebym się piekł w smole.

Po kilku dniach, kiedy, powracał do domu, idąc gościńcem, znalazł skrzynkę podróżną. A że sobie zapamiętał słowa księdza katechety: »Chociażbyś co kosztownego znalazł, to oddaj zaraz«, tak on tej skrzynki nie zaniósł do domu, tylko do księdza proboszcza. Od tej jednak chwili poprzestał chodzić do szkoły, bo nie mógł sobie dać rady.

Ksiądz zaś, nie przywiązując do tej skrzynki wielkiej wagi, a widząc, że jest silnie okuta i zamknięta, więc ją kazał wynieść na strych i tam postawić: może się ta kiedy ktoś po nią zgłosi.

Jakoś w drugim roku podczas zimy zatrzymał się przed plebanią jakiś pan, który, jak się później okazało, był właścicielem dóbr ziemskich. — Ponieważ mu się koło zepsuło u powozu, przeto był zmuszony zatrzymać się, dopóki kowal wózka nie naprawi. Przy kolacyi i pogwarce pan zaczął się użalać przed księdzem, że mu się jakoś nieszczęści, ile razy przejeżdża przez te okolice, bo w przeszłym roku zginęła mu skrzynka, w której miał bardzo ważne dokumenta i papiery wartościowe, w tym roku znowu koło mu się zepsuło.

Słysząc ksiądz proboszcz o skrzynce, tak sobie przypomniał, że do niego pewien chłop przyniósł jakąś znalezioną skrzynkę. Więc kazał ją służącemu znieść ze strychu. Gdy ją pan zobaczył, rzucił się zaraz księdzu w objęcia, dziękując serdecznie za odnalezienie tak drogocennej zguby i pytając, jakim trafem mógł przyjść do onej skrzynki.

Ksiądz mu dopiero powiedział, że to nie on ją znalazł, tylko pewien chłopek przyniósł skrzynkę do niego. Pan zaraz na drugi dzień posłał po onego chłopa i zapytał go, jak dawno znalazł ową skrzynkę.

— A to jeszcze wtenczas, gdym to do szkoły chodził — odparł chłop.

— Ej, to niemożliwe — rzekł pan — bom ja ją dopiero przeszłej zimy zgubił.

— Ano, to ja też wtedy chodziłem do szkoły — odpowiada chłopek.

Pan myślał początkowo, że chłopek żartuje, ale pomału chłopek się wygadał, co i jak mu się przytrafiło ze szkołą, do której go żona dognała w tej nadziei, że się im los poprawi.

— I nie zawiodła się wasza żona, mój przyjacielu — rzekł pan na to — bo was zaraz zabieram do siebie, gdzie będziecie pędzić szczęśliwsze życie.

I rzeczywiście chłop otrzymał piętnaście morgów pola i ładne budynki na własność.

— Widzisz, mój kochany — przypominała mu żona do śmierci — do czego nas to szkoła doprowadziła

K. Powroźniak.

Gawędy Wawrzka Obywały Z Markiem Zakałą.

Wawrzek: Co teraz za pycha na świecie panuje, to już wydziwować się, kumie, nie mogę; dziś lada parobek tak się wymusztruje, że bez kija, bracie, nie zachodź mu w drogę. Chłop z dziada pradziada kradnie »pańską modę«, myśli, że on wtedy większe ma znaczenie. On przez to niejedną wyrządza se szkodę: pierwszą potwierdzają już jego kieszenie.

Marek: W samej rzeczy, kumie, co ta młodzież czyni, to i śmiać i płakać chce się człowiekowi. Nie dość, że już modę niemiecką przyjęli, to jeszcze dorównać pragną magnatowi. — Za jakie lat dziesięć chłopa nie znajdziecie, gdy dzisiaj widzicie pańskie kołnierzyki, zwłaszcza u młodzieży krawatek jak śmieci. W panów się już bawią wszystkie wiejskie smyki.

Wawrzek: Panowie poprostu na to oburzeni, że ich naśladują »kopciuszki« wioskowe, nie pytając, że to szkodzi na kieszeni — wymyślają stroje jakieś »postępowe«. Nie wiem, co to robi: czy to Ameryka, czyli inne licho tę modę wprowadza. Dzisiaj lada pastuch w kołnierzyku bryka, zegarek na brzuchu też mu nie zawadza. . U takiego »pana« tyle co na sobie — bo w kieszeni pustki jak na Ukrainie, każdy powierzchownie tylko »pana« skrobie — o centa u niego trudno w złej godzinie.

Marek: Albo i u dziewuch naszych, miły Boże! kędy poznikały owe krasne stroje, w których to dziewoje błyszczały, jak zorze, kiedy do kościoła szło ich sznurem roje... Dziś czarne, miastowe przywdziały fartuszki, staniki, sukienki w ponurym kolorze, z głów ich poznikały ruciane wianuszki a później nie chybi... warkocz rzucą może...

Wawrzek: A co to pieniędzy to wszystko kosztuje... nie macie pojęcia, kumie Obywało: Bo takiej dziewusze zawsze coś brakuje — na każdą niedzielę noweby się zdało... Sam się naród gubi przez wyniosłość głupią, która mu honoru nie da odrobiny... Żydzi tylko pieniądz z lekkomyślnych łupią, a głaszcząc kieszenie, z »gojów« robią kpiny.

Marek: Oj, to prawda, kumie, dla żydów to żniwa, gdy dziewczęta do nich z pieniądzmi witają... Żyd takie podlotki porządnie wykiwa, bo się na wartości towaru nie znają. U takiej dziewczyny jak drogie — to ładne i rywalizują w strojach między sobą; każda wyszukuje coraz to paradne, by mogła zachwycić chłopców swą osobą.

Wawrzek: Aleć się i chłopcy na tem już poznali: chudobnej strojnisi wcale nie żądają — ale patrzą, gdzieby więcej mórg pola dostali. Do takiej dziewczyny to się hurmem pchają. Lecz ja tyle mówię: »według stawu grobla« — o tem nam pamiętać dziś, kumie, potrzeba, jeśli być pragniemy syci swego chleba.

Bartek z pod lasu.



Jeden ucony z Zatraconej Wsi wydał takie dziesięcioro przykazań dla bab z całej parafi, których się według niego wszyćkie baby, cy to wsiowskie, cy to miescki, na całem świecie trzymać powinny.

Przykazania te tak się pisą:

1. Nie będzies miała, oprócz własnego chłopa, insych, którzyby ci się podobali, bo inacyj to twój sprzeizdzałby cię zarnówicą.

2. Nie będzies nigdy gębowała na męża twego, gdy on przyjdzie uselentany z roboty, ale sprawis mu fest pucówkę, jeźli z karcmy powróci.

3. Pamiętaj o chłopie twojem, aby co dzień miał nie ino porządną donickę zimiaków, ale i trochę jajeśnicy z kurzego owocu i kawałek ścirwa z pod świńskiego ogona.

4. Dbaj nie ino o swoją urodę, ale staraj się i twojemu chłopu wkiejniekiej wytrzepać pucionkę, ale wtedy, kiedy ona jest nie na niem.

5. Nie gniwaj się, jak cię chłop poturbuje, lec pomnij, ze jak chłop baby nie bije, to wątroba w niej gnije.

6. Nie podchwytuj męża, jak on się w cem pomyli, bo co jemu dziś, to jutro tobie; ale staraj się go delikatnie z błędu wyprowadzić.

7. Nie okradaj twojego męża strojeniem się, próżnowaniem i insemi rzecami, których on nie robi, bo powinnaś wiedzieć, ze chłop trzyma jeden węgieł chałpy a kubita trzy.

8. Nie opowiadaj kumoskom wad twojego męża, bo jeśli on zły, toś ty przedewszyćkiem temu winna, gdyz powiada przysłowie: Z jakim się wdajes, takim się stajes.

9. Nie pożądaj piniędzy twojego męża, zwłasca wtedy, kiedy ich nie ma, bo jak nie ma, to ci ich nie da.

10. Staraj się być zawse dobrą, uprzejmą i podległą twojemu męzowi, a będzies mogła być pewna, że więcej jak raz na dzień cię nie nawali.

Takie przykazania wydał ten pewien ucony z Zatracony Wsi, ale nie wiadomo, cy się wszyćkie utrzymają, boć wiadoma rzec, że często nawet najlepsa żona ma męża nicpotem. To też Kaśka Myrdalonka pedziała, ze ona, jakky tak nie przymierzając znalazła takiego gupiego, coby ją chciał, toby ze swej strony wynalazła jesce morowse przykazania la chłopów.

Kaśka pada, zeby się nigdy chłopu bić nie dała, ale jako ze w kroku obserniejsa, toby cemduchu uciekła, gdzie pieprz rośnie.

Pada Kaśka takze, ze nawet najlepsa baba przy złem chłopie rychło się zepsuje, więc jakby były dobre chłopy, toby i złych bab nie było, a ze są złe baby, toć najlepsiejsy dowód, ze złych chłopów takoj na świecie nie brak.

Z takiego gadania Kaśki przysedem do przekonania, ze cy tak, cy siak, to z babami do końca nie przyjdzie.

Klęska powodzi.

Jeszcze nie obeschły okolice, które nawiedziła powódź w pierwszych dniach lipca, a już nowe potoki deszczu spowodowały ponowną klęskę żywiołową i straszny w skutkach wylew rzek.

Z powodu ulewy, jaka nastąpiła we czwartek ubiegłego tygodnia, przeważnie ucierpiały okolice górskie, gdzie wezbrane wskutek bezustannych opadów potoki górskie powyrządzały wielkie szkody.

Między Nowym Targiem a Laskiem nastąpił wylew; również i między Mszaną Dolną a Zarytem potoki górskie wezbrały i przerwały komunikacyę. Pomiędzy Rytrem a Piwniczną zerwany został most. Koło Wierchomli, miejscowości położonej za Piwniczną w kierunku Żegiestowa, usunęła się skała, podmulona przez wodę.

Z Nowego Targu donoszą, że Dunajec w ciągu niespełna 12 minut wystąpił z brzegów, zagrażając miastu powodzią. Mieszkańcy pouciekali z domów. Wkrótce Dunajec rozlał się w okamgnieniu na ogromnej przestrzeni, zalewając całą część miasta pod kościołem św. Anny, oraz dzielnicę na t. zw. Kowańcu. Mieszkańcy wynosili z mieszkań sprzęty, pościel, bieliznę i t. d. Także część miasta, położona na prawym brzegu Dunajca aż do mostu betonowego została zalana. Na Dunajcu widać było co chwila płynące stosy porwanego drzewa, płoty, a nawet całe domy. Szkoda ogromna.

Wiadomości, jakie nadeszły z Witowa, Czarnego Dunajca, Długopola, Ludźmierza są wprost przerażające. Klęska ogromna; ludności grozi nędza głodowa. Przyczyną tej strasznej katastrofy jest oberwanie chmury, które miało nastąpić między godziną 3 a 5 po południu w okolicy Witowa, Czarnego Dunajca i Odrowąża.

W Myślenicach jest na koloniach wakacyjnych 24 seminarzystek. Otóż jedna z nich tak nam opisuje wylew Raby: Myślenice 18 lipca. Jestem doprawdy pod tak strasznem wrażeniem, że nie wiem, czy potrafię porządnie opisać niebywałą powódź, jaka nawiedziła tutejszą okolicę. Na wszystkich ustach są dzisiaj te dwa wyrazy: »Raba wylała«. I rzeczywiście Raba dziś dochodzi do 300 metrów szerokości. Od naszej willi, która leży na górze, jest dość daleko do Raby, mimo to widać ogromne kłody drzewa z korzeniami i słychać niezmierny szum. Po południu poszłyśmy na most. Coś strasznego, jak tam szumi i huczy. Byłyśmy tam dwa razy. Za pierwszym razem można było przejść suchą nogą na drugą stronę, a potem było już na jakie 100 do 200 metrów wody za mostem. Ks. Inspektor mówił, że tylko jeden słup, a już most runie. Co prędzej uciekłyśmy stamtąd, bojąc się, abyśmy nie wpadły do wody. Dziś wyciągnęli jednego człowieka a drugi się topił i nie wiem, co się z nim stało. Później byłyśmy w stronie Stróży, gdzie zerwała woda most. Cały płynął rzeką. Powiadają, że takiej powodzi nie było już od lat 20. Całe pola pod wodą. Strach i żal patrzeć na tych biednych ludzi, co stoją nad rzeką i patrzą na żywioł, który im chleb zabiera.

Z Rzeszowa donoszą, że po ulewnych deszczach Wisłok nagle wezbrał, a stan wody podniósł się do niebywałej wysokości. Wszystkie nadbrzeżne osady od Rzeszowa do Czarny zalane. Wały na obszarze dworskim w Jasionce i Wólce, mimo wysiłków ratunku w dzień i noc, woda przerwała, bo napływ wody przewyższył nasypy. Plony, tak świetnie się zapowiadające, zniszczone, ziemniaki przepadną. Rzepak wyżęty i konicz w kopicach spłynęły z wodą. W Laszkach murowanych, w przysiółku Zaradki, woda podmyła brzegi tak, że ledwo zdołano opróżnić domy.

Woda na Sanie również bardzo wezbrała. We czwartek w Rozwadowie uderzył piorun w dom niejakiego Reisa i zniszczył sufit. Żona Reisa z przestrachu zemdlała, tak, iż z trudem przyprowadzono ją do przytomności.

Koło Jarosławia San wystąpił z swych brzegów i zalał okoliczne wsie i pola. Płody ziemne, które zazwyczaj o tej porze rolnik już zbiera lub które przynajmniej dojrzewają, zalała woda, kartofle i zboże całkowicie już zgniły, a widmo głodu poczyna już zwolna zazierać w oczy dotkniętym powodzią mieszkańcom. Powódź przyniosła na Garbarze, przy Jarosławiu, zwłoki jakiegoś mężczyzny, które zawisły na kolczastym drucie, za ogrodzenie służącym. Zwłoki były prawie zupełnie zniszczone i leżały od dłuższego czasu w wodzie. Przy zwłokach znaleziono zegarek z łańcuszkiem, a z resztek odzienia domniemywać się należy, iż topielec był wieśniakiem lub robotnikiem.

Straszna burza nie ominęła również i Lwowa. Deszcz był tak ulewny, że po kilku minutach ulice zalała woda, a nie mogąc pomieścić się w kanałach, gromadziła się w coraz większej ilości. Nadto zaczęły napływać z wyżej położonych ulic masy wody. Wówczas zamieniły się ulice miasta w strumienie. Wszystkiemi, niżej położonemi ulicami, płynęły rzeki poprostu. Komunikacya tramwajowa ustała. Na ulicy Grodeckiej woda stała na pół metra, wlewając się do mieszkań suterynowych. Na środku ulicy Grodeckiej wysadziła woda ciężką pokrywę kanałów i biła w górę słupem półtorametrowym, wyrzucając potopione psy, koty i t. d.

W okolicach Kałusza i Chyrowa wylewy pociągnęły ofiary w ludziach, bliższych jednak szczegółów na razie brak.

W Cieszynie, na Śląsku, nastąpiło oberwanie chmury, które spowodowało wylew okolicznych potoków. Trzy przedmieścia zalała woda.

W Karwinie, na Śląsku, oberwanie się chmury spowodowało na półtora miliona koron szkody. W Karwinie musiano mieszkania kilkunastu rodzin opróżnić. Dwie pobliskie miejscowości zalała woda. Zasiewy zupełnie zniszczone.

W Sibicy, na Śląsku, zalana została przestrzeń od mostu kolejowego kolei północnej aż do fabryki Mundus. W kolonii tej fabryki woda dostała się do domów. Stanęła skutkiem tego pod wodą fabryka Mundus, mleczarnia arcyksięcia, fabryka Kohna. Woda sprawiła ogromne spustoszenia, zalała tokę straży pożarnej, wszystkie ogrody na drodze ostrawskiej i wcisnęła się do piwnic w domach w Grabinie. Na ulicy Królewskiej woda płynęła w formie potoku. Na ulicy tej w jednym z domów zmarła ze strachu na widok wciskającej się wody Marya Borakowa, mieszkająca w suterenach.

Deszcz padał także w całej Europie środkowej, a burze szczególnie trapią Węgry i Austryę. Klęski sprawiły burze w Austryi Dolnej i przyległej Styryi. W Gracu, stolicy Styryi, burze wywołały wylew Mury, która zalała niżej położoną część miasta, rujnując budynki. Zatonęły dwie osoby, a ośm zaginęło i niewiadomo, co się z niemi stało. Burza trwała przez pięć godzin, od 4 do 9 wieczorem padał ulewny deszcz z gradem. W mgnieniu oka dopływy Mury zmieniły się w rwące strumienie. W miejscowości Stiftingthal zawalił się dom, a 12 osób zaledwo z życiem uszło przy pomocy straży ogniowej. Woda zerwała murowane ogrodzenie koszar kawaleryjskich a 200 koni w dzikim popłochu rozbiegło się na wszystkie strony. Połączenie kolejowe częściowo zerwane.

Z TYGODNIA.

O Sejm galicyjski. Po skończonych wyborach zaczęły się zaraz ciche prace zakulisowe, tyczące działalności przyszłego Sejmu. Posłowie różnych stronnictw naradzają się ze sobą, co dalej czynić. Namiestnik Korytowski po powrocie z urlopu, około 18 sierpnia zacznie rokowania ze stronnictwami, zmierzające do zawarcia ugody w sprawie reformy wyborczej. Między stronnictwami, zdaje się, łatwo przyjdzie do zgody, ale Rusini stawiają teraz większe żądania.

Związek narodowo-ludowy. W gmachu sejmowym we Lwowie odbyły się we czwartek dn. 17 lipca narady posłów narodowo-demokratycznych i chrześcijańsko-ludowych. W obradach wzięło udział 14 posłów; czterech usprawiedliwiło swoją nieobecność. Zebrani uchwalili utworzyć wspólny klub sejmowy pod nazwą narodowo-ludowego. Do prezydyum tego klubu wybrano: Dra Głąbińskiego, hr. Skarbka i Zamorskiego. Do komisyi parlamentarnej wybrano: Jabłońskiego i ks. Wolanina. Uchwalono następujące rezolucye: 1) Związek narodowo ludowy uważa za konieczne i pierwsze zadanie nowego Sejmu jak najrychlejsze uchwalenie sprawiedliwej dla obu narodów, kraj zamieszkujących, i na szerokich demokratycznych podstawach opartej sejmowej ordynacyi wyborczej. 2) Związek postanawia wnieść samoistny projekt oparty na zasadzie katastru narodowego. 3) W nowej ordynacyi wyborczej sejmowej powinny znaleść zastępstwo także sfery rękodzielnicze, robotnicze i nauczycielstwo ludowe. 4) Związek wzywa miarodajne czynniki, aby w interesie rychłego załatwienia reformy wyborczej starały się przedewszystkiem doprowadzić do porozumienia wszystkich polskich stronnictw i wyraża życzenie, aby rokowania te były prowadzone w kraju, a nie w Wiedniu. 5) Związek domaga się stanowczo, aby równolegle ze sprawą reformy wyborczej załatwiono ważne i niecierpiące zwłoki sprawy, jak budżet krajowy, regulacyę płac nauczycielskich, budowę szkół, zmianę ustawy gminnej, regulacye rzek, budowę kolei i t. d. 6) Związek przyjmuje do wiadomości interwencyę swoich posłów u namiestnika w sprawie klęsk elementarnych i wzywa prezydyum do energicznej akcyi w tym kierunku. 7) Związek stwierdza, że wybory odbyły się tu i ówdzie nie w myśl okólnika namiestnika i dlatego domaga się, aby w nowej ordynacyi wyborczej zagwarantowana była czystość wyborów. 8) Związek wyraża nadzieję, że wobec ogólnej opinii za najrychlejszem załatwieniem reformy wyborczej, wobec groźnego ekonomicznego położenia kraju, wszystkie stronnictwa szczerze i zgodnie zechcą załatwić reformę wyborczą i przyczynić się do zapewnienia Sejmowi owocnego i spokojnego przebiegu obrad.

Zawierucha na Bałkanie. Na półwyspie bałkańskim panuje ogromny chaos. Wielkich bitew wprawdzie niema, ale od czasu do czasu ponawiają się drobne utarczki pomiędzy Bułgarami a Serbami i Grekami. Tymczasem wielkie mocarstwa dokładają starań, aby wojujące narody doprowadzić do zgody i zapewnić im spokój. Ciężko to jednak idzie, bo do zatargu wmieszały się Rumunia i Turcya. Rumunia zajęła część kraju bułgarskiego z miastem Sylistrią; dotychczas przyszło tylko do jednej, małej utarczki z Bułgarami. Turcya posunęła swe wojska w kraj przed tem opróżniony, ku Adryanopolowi. Zdaje się, że pragnęłaby coś z utraconych ziem odzyskać, ale mocarstwa jej na to nie pozwolą. Wszystkie państwa bałkańskie czekają na dalszy rozwój wypadków, ale czekają z bronią u nogi. Co najbliższa przyszłość przyniesie, niewiadomo.

KRONIKA.

Zebranie oświatowe. Staraniem Eleuteryi odbyło się ubiegłej niedzieli 13 lipca b. r. w Zakrzówku, dzielnicy krakowskiej, zebranie oświatowe w przepełnionej sali Czytelni. Po wstępnem przemówieniu p. Leona Możdzeńskiego, w którem wyjaśnił cele Towarzystwa i znaczenie oświaty wogóle, wygłosił p. J. Surówka odczyt »O szkodliwości alkoholu«. Następnie wywiązała się na ten temat ożywiona pogadanka, zakończona zabawą towarzyską przy gramofonie. Na życzenie zebranych przyrzekł p. Możdzeński imieniem Zarządu Zw. Eleuteryi urządzać co niedzielę takie odczyty w połączeniu z pogadankami i zabawą w Zakrzówku. Następnej niedzieli o godz. 4 popoł. odbędzie się w Czytelni odczyt »O Kościuszce«. Na zakończenie zaproponował p. Możdzeński zebranym utworzenie kółka amatorskiego i chóru, co z wielkim zapałem przyjęto, a w następnym tygodniu mają się już rozpocząć próby. Uznanie należy się Wydziałowi Czytelni za bezinteresowne odstąpienie sali na odczyty i przedstawienia i p. Dziewońskiemu za wypożyczanie gramofonu, ułatwiającym w ten sposób pracę oświatową. Oby i sąsiednie gminy podmiejskie Krakowa poszły za przykładem Zakrzówka.

Pożar. Donoszą z Tymbarku: W nocy na 10 lipca wybuchł w tutejszym folwarku, leżącym tuż koło stacyi kolejowej, groźny pożar, który dzięki sprawności jedynie personalu kolejowego nie obrócił w perzynę całego dworu p. J. Myszkowskiego i stacyi. Pierwszy zauważył maszynista pociągu towarowego światełko w stodole, stojącej tuż przy zwrotnicach. Naczelnik stacyi, zbiegłszy na dół, zebrał natychmiast ludzi i przyrządy pożarnicze do obrony najbliższych budynków, wezwawszy zarazem przez ludzi straż pożarną miasteczka. Ponieważ w jednej chwili w płomieniach stanęła ogromna, pełna stodoła i szopa z maszynami rolniczemi, szczęściem można nazwać to, że pożar do tych budynków ograniczono. Oba budynki paliły się przez trzy godziny. Szkoda wynosi kilkanaście tysięcy koron.

Wypadek z bronią. Przed niedawnym czasem próbował uczeń gimn. w Stanisławowie Fedyszyn, czy stary patron, który kupił wraz z rewolwerem, wypali. Kilka prób nie udało się, patron nie wypalił. W chwilę później w czasie rozmowy z kolegą, chwycił rewolwer i począł straszyć, że go zastrzeli, a pewny, że patron, kilkakrotnie próbowany nie wypali, pociągnął za cyngiel.



Niestety! — patron wypalił i kula ugodziła kolegę w czaszkę, poza lewe ucho. Można sobie wyobrazić rozpacz matki, która przyjechała do Stanisławowa, by odwiedzić syna i weszła w parę minut po wypadku. Niemniej zrozpaczony był mimowolny sprawca wypadku, który w pierwszej chwili chciał się rzucić przez okno. — Oto nowy przykład, jak ostrożnie trzeba obchodzić się z bronią.

Śmierć w lesie. Z Maniów donoszą, że w lesie kluszkowieckim zginął straszną śmiercią młody gospodarz, nazwiskiem Bubis. Ś. p. Bubis rżnął w lesie buka z gospodarzem Tomaszem Kalembą z Maniów. Część drzewa stoczyła się nagle i przywaliła Bubisa, który poniósł śmierć na miejscu. Kalemba odniósł poważne rany. Dodać należy, że ś. p. Bubis ożenił się dopiero przed kilku tygodniami.

Dwie nowe twierdze w Galicyi. Wkrótce rozpoczną się podobno roboty około ufortyfikowania Halicza i Niżniowa w celu zrobienia z tych dwóch miejscowości silnych twierdz. Dotychczas twierdzami w Galicyi są: Kraków i Przemyśl. Wrazie utworzenia dwóch nowych byłoby razem w Galicyi 4 twierdze.

Dzielny czyn polskich chłopów na Śląsku. Koło Cieszyna w pięknej okolicy przy kolei, wiodącej na Węgry, znajduje się wioska Końska. Ludność miejscowa jest rdzennie polską, a tylko dwór starodawny ze zamkiem i 942 morgami urodzajnej ziemi był własnością Niemca Grohmanna. Przed miesiącem majątek ten kupili polscy chłopi ze Śląska, utworzywszy przedtem spółkę rolniczą. Polscy chłopi dokazali przez to wielkiego czynu obywatelskiego, bo zdobyli dla Polski 942 mórg ziemi z rąk niemieckich. Majątek ten częścią podzielą między siebie, a resztę sprzedadzą polskim rolnikom. Zdarzenie to w tych czasach, kiedy w Galicyi majątki przechodzą w ręce obce, gdy pod zaborem pruskim gwałem wyrzucają nas z ojczystego zagonu, nabiera tem większego znaczenia, a otuchą napawa nas na przyszłość.

Okradzenie figury Matki Boskiej Lurdzkiej. W ubiegłym tygodniu, w poniedziałek, okradziona została figura Matki Boskiej Lurdzkiej w kościele Braci Miłosiernych w Cieszynie na Śląsku. Świętokradca zabrał wota, mianowicie podwójne serce ze srebra, mocno pozłacane, dwa łańcuszki, jeden z pereł, drugi ze złota ze złotymi krzyżykami, z których jeden pochodził od biskupa tarnowskiego ś. p. ks. Pukalskiego.

(J. P.) **Koń w samochodzie.** Śmieszny wypadek zdarzył się 16 lipca w Bukowcu, na Śląsku. Jadący samochód w pełnym pędzie od Jabłonkowa do Bukowca, gdzie chciał objechać czyszczony właśnie kanał drogowy, minął twardą drogę, ani się spostrzegł, jak ugrzazł w zamulonym rowie po osie. Po daremnych wysiłkach, motorowy zawołał kilku chłopów i cieśli, pracujących w pobliżu, którzy odkopali od kół błoto i zaczęli go popychać; motorowy zaś całą siłą puścił motor. A gdy i tak nie można było ruszyć, poprosił więc pewnego gospodarza, a ten zaprzągł konia i po wielkim wysiłku wydobyto samochód na twardą drogę. Podczas tego niektórzy śmiali się do rozpuku z tak pięknej przejażdżki.

Polak posłem na Sejm morawski. Przy wyborach na Sejm morawski z kuryi wielkiej własności czeskiej, odbytych przed kilku dniami, między innymi wybrany został posłem Polak, kanonik kapituły ołomunieckiej ks. Dr Komorowski.

Jubileusz Apostołów słowiańskich. W Velehradzie na Morawach, w klasztorze OO. Jezuitów, obchodzono 5 b. m. 1050 rocznicę pracy apostolskiej św. Cyryla i Metodego. W uroczystości tej wzięli udział reprezentanci i delegaci wszystkich prawie narodów słowiańskich. Przybyły delegacye Czechów, Rusinów, Serbów, Bułgarów, Słowieńców, Chorwatów, Kroatów, Słowaków i t. d. Słowianie z Ameryki wydelegowali reprezentanta w osobie radcy kons. Bobali z Chicago. Między delegatami znajdowało się wielu dostojników kościelnych. Polaków reprezentował książe biskup krakowski ks. Sapieha. Gości witał proboszcz w Velehradzie i poseł do Rady państwa ksiądz Dr Stojan. W uroczystości brało udział blisko 100.000 ludzi.

Wydalanie nauczycieli ze służby. W Osieku, w Czechach, na posiedzeniu Rady szkolnej okręgowej postanowiono oddalić od 15 lipca 50 tymczasowych nauczycieli z okręgu. Powodem jest brak pieniędzy na płacenie im skromnych, bo 60 koron miesięcznie wynoszących pensyj. Oto pierwsze jaskółki materyalnej ruiny Czech! I u nas, gdy Sejm nie uchwali budżetu, może nastąpić coś podobnego.

Piękny przykład ofiarności dali oficerowie artyleryi w Monachium. W szpitalu wojskowym od dłuższego już czasu przebywał pewien artylerzysta, syn ubogich rodziców, który cierpiał na rozkład krwi. W ostatnich dniach stan chorego tak dalece się pogorszył, że pozostał już tylko jeden środek uratowania go, to jest wprowadzenie w jego żyły nowej, zdrowej zupełnie krwi. Operacyi tej, rokującej pomyślne rezultaty, nie dało się dokonać, ponieważ nie znaleziono osoby ze zdrową krwią, któraby chciała część jej ofiarować bezinteresownie dla uratowania biednego żołnierza. Tego samego dnia wieczorem lekarz sztabowy, będący kierownikiem szpitala wojskowego, opowiadał o tym fakcie w menaży oficerskiej, wobec kilkunastu oficerów. Po małej chwili wśród zbitych w gromadę oficerów powstał pogwar i narada, poczem 17 z nich oświadczyło lekarzowi, że pozwalają, aby ich krwi użyto do operacyi, jeżeli ona konieczną jest dla utrzymania żołnierza przy życiu. Dodać trzeba, że żaden z oficerów nie miał wobec chorego najmniejszych zobowiązań, kilku zaledwie znało go zdaleka.



Ofiarę przyjęto i z pośród zgłaszających się wybrano jednego z poruczników. Przelanie krwi udało się zupełnie, a po operacyi stan chorego poprawił się znacznie, wobec czego można mówić o utrzymaniu go przy życiu.

Mówiący zegar. W jednym z berlińskich hoteli odbyła się przed gronem zaproszonych gości demonstracya zegara nowego systemu, sporządzonego przez pewnego rzemieślnika, któremu nadano nazwę »zegara mówiącego«. W zegarze tym zamiast aparatu, wydzwaniającego godziny, znajduje się »wywoływacz« t. j. aparat, który co pół godziny ludzkim głosem może oznajmiać o czasie — do tej pory, dopóki nie przyciśnie się odpowiedniego guziczka. — W Berlinie zawiązało się już Towarzystwo akcyjne, które z kapitałem 1 miliona i 200.000 marek przystępuje do budowy specyalnej fabryki mówiących zegarów. Cena jednego takiego zegara ma wynosić około 150 koron. Wynalazcą mówiącego zegara jest syn wdowy Markusowej z Wielenia. Wynalazek zapewni im dobrobyt.

Niezwykłe odkrycie morderców. W okolicach Kałuszyna, w Królestwie Polskiem, silne wrażenie wywarł fakt następujący: Na drodze między

tem miastem a Nowo-Mińskiem woźnica jakiś wiózł kafle. Nagle wóz zaczął się wywracać i pomimo usilnych starań woźnicy, który wzywał pomocy, podtrzymując wóz, ten się wywrócił i przygniótł sobą woźnicę. Gdy chłopi pośpieszyli z pomocą, konający woźnica zeznał przed nimi, że na tem samem miejscu, gdzie fura się wywróciła, zabił przed dwoma laty człowieka. Po tem zeznaniu człowiek ów wyzionął ducha; przed śmiercią jednak zdążył wymienić nazwiska dwóch współuczestników morderstwa.

Pociąg wywrócony przez burzę Na dworcu kolejowym Wremenaja w Rosyi, jak donoszą telegramy, orkan wywrócił pociąg osobowy. Mnóstwo ludzi zginęło, mnóstwo jest ciężko rannych.

Nauczyciel, prorok i wieloryb. W jednej ze szkół kolejowych kolei moskiewsko-niżegrodzkiej, w Rosyi, na lekcyi religii zdarzył się taki wypadek: Nauczyciel religii opowiadał o tem, jak wieloryb połknął Jonasza i jak ten żył we wnętrznościach wieloryba trzy dni. Wysłuchawszy objaśnienia, jeden z uczniów zauważył, że jest to niemożliwe, ponieważ nauczycielka opowiadała na lekcyi przyrody, że wieloryb z trudnością połyka gatunki drobnych ryb. Odpowiedź rozgniewała nauczyciela religii i pociągnął on ucznia do żandarma dla spisania protokółu o tem, że nauczycielka budzi w uczniach niewiarę i bezwyznaniowość. Nauczycielce groziły wielkie nieprzyjemności, wyratował ją jednak zawiadowca. Zwrócił się on do duchownego z zapytaniem: A czy wypadek z prorokiem Jonaszem jest »cudem«, czy wypadkiem zwykłym? Oczywiście cudem, odpowiada nauczyciel religii. Przytomny zawiadowca oświadczył wówczas, że gdyby wszystkie wieloryby mogły swobodnie łykać ludzi, to wypadek z Jonaszem nie byłby cudem, lecz zjawiskiem pospolitem. Duchowny nie umiał dać na to odpowiedzi i protokół podarto. Tak załatwiono ten śmieszny zatarg. My dodamy, że pobyt trzydniowy Jonasza w paszczy wieloryba był rzeczywiście cudowny, ale i to trzeba wiedzieć, że tylko przez gardło wieloryba przechodzą drobniutkie przedmioty, ale w paszczy mogą się mieścić nawet duże.

Przepowiednia. Chociaż przepowiednie prawie nigdy się nie sprawdzają, ludzie chętnie widzą w zbiegu okoliczności, zwłaszcza napozór dziwnym i niewytłumaczonym, sprawy nadnaturalne. Stąd pochodzi ta powszechna wiara w przepowiednie, wróżby i t. d. Obecnie n. p. dzienniki francuskie zajmują się przepowiednią, jaka spotkała króla Ferdynanda. Słynny Mancini, który zmarł w maju b. r., przed laty odwiedził dwór bułgarski. Książę, który wiedział, że Mancini uchodzi za głośnego wróżbiarza z ręki, kazał mu sobie wywróżyć przyszłość.

— Widzę głęboki smutek dla Waszej Wysokości i dla Bułgaryi — mówił Mancini — który przyjdzie wkrótce. Ale za pięć lub sześć lat widzę wielką dla Waszej Wysokości radość. W roku 1912 nastąpi urzeczywistnienie marzenia, o jakiem obecnie Wasza Wysokość zaledwie śnić się ośmiela...

— A później? — pytał ciekawy wówczas jeszcze książę Ferdynand.

Wróżbiarz się zamyślił.

— Mów pan wszystko śmiało!

— Szczęście mija szybko — westchnął Mancini. — W roku 1913 — obym się mylił! — czytam pogrom Bułgaryi i nieszczęście dla Waszej Wysokości.

Przepowiednia dotąd się sprawdziła Smutkiem była dla księcia śmierć matki, radością — koronowanie na króla. Rok 1912 przyniósł zwycięstwo nad Turkami, a rok 1913 jeszcze nie przeszedł...

Znikające jezioro. Wiadomo, że w Krainie jest jezioro Cyrknickie, którego wody co roku znikają pod ziemią, poczem dno pokrywa bujna trawa. Gdy ludzie trawę skoszą i zbiorą, zalewa je znów woda.

O bardziej interesującem, choć podobnem, zjawisku w przyrodzie donoszą z Rzymu. We Fumone, w prowincyi rzymskiej znikło naraz w ubiegły poniedziałek malownicze jezioro Cauterno. Woda spłynęła w rozpadlinę, która się utworzyła na środku jeziora, widocznie bardzo głęboką. Zjawisko takie obserwowano tam w dawnych czasach już kilka razy. Ostatni raz miało ono miejsce przed 22 laty. Wówczas, gdy jezioro również nagle zniknęło, włościanie zorali urodzajne dno i zbierali przez dwa lata bardzo ładne plony. Po dwóch latach jednakże woda znowu napłynęła i na miejscu pięknie uprawianych zagonów utworzyło się znów jezioro. O jeziorze tym krążą wśród ludności odwieczne legendy. Jedna z nich powiada, że jezioro znika zawsze wtedy, gdy w nim zbrodnicza ręka utopi niewinne dziecko. Ludzie, którzy przypadkiem byli świadkami zniknięcia jeziora, opowiadają, że naraz na środku utworzył się krater i woda z szumem zaczęła gwałtownie spływać w głąb. Na dawnem dnie jeziora leży mnóstwo ryb. Z krateru wydobywają się gazy. Włościanie mają zamiar znowu zabrać się do uprawy dna, zażądali jednak zbadania przez uczonych, czy woda znów nie powróci.

Powietrzny rabuś. O prawie nieprawdopodobnym wypadku donoszą pisma włoskie. W małej wiosce w Apeninach bawiło się dziecko jednego z jej mieszkańców w niewielkiej odległości od domu. Rodzice zajęci byli opodal pracą, gdy nagle uszu ich doszedł przejmujący krzyk dziecka. Zatrwożeni do najwyższego stopnia pospieszyli w pobliże, a wtedy ujrzeli straszny i niezwykły zarazem obraz. Z powietrza spadł jak strzała, król ptaków — orzeł i zatopił swe szpony w ubranie synka wieśniaka..



Zdawało się, że lada chwila porwie orzeł dziecko i uniesie je w obłoki. Tymczasem chłopczyna uczepił się w ostatniej już prawie chwili jakiegoś krzaka i rozpaczliwie zaczął się bronić. Ojciec dziecka, momentalnie oceniwszy grozę sytuacyi, przebiegając koło domu, pochwycił wiszącą w sieni strzelbę i przybiegł na pomoc dziecku. W międzyczasie dziecko, wyczerpane wysiłkiem, wypuściło z rąk swą podporę, a orzeł, szamocąc się, wlókł je nad ziemią. W tej właśnie chwili ojciec dziecka potężnem uderzeniem kolby okaleczył drapieżnika, a później go dobił. Dziecko było wybawione, odniosło jednak lżejsze, bolesne okaleczenia.

Niezwykły wypadek w tunelu. Niedaleko wejścia ze strony włoskiej do tunelu simplońskiego, we Włoszech, wiszą na łańcuchach, pomiędzy skałami, ciężkie wrota żelazne, aby w razie wojny można było je spuścić i zamknąć otwór tunelowy. Dnia

12 lipca łańcuchy, widocznie zardzewiałe, pękły i ciężkie wrota spadły na tor kolejowy, zamykając tunel. Na szczęście, spostrzeżono wypadek w sam czas, aby zaalarmować pociąg ekspresowy, dążący do Medyolanu i uniknięto przez to strasznej katastrofy; moc bowiem wrót jest tak obliczona, aby mogła wytrzymać napór najsilniejszej lokomotywy.

Okropna śmierć ojca i syna w samolocie. O niezwykle tragicznym wypadku lotniczym donoszą z Paryża. 58-letni lotnik Bertin wzniósł się w tym tygodniu wraz ze swoim 21-letnim synem na samolocie w przestworze. Na wysokości 80 metrów samolot się wywrócił i runął na ziemię, przyczem iskra z motoru wpadla do zbiornika z benzyną i w jednej chwili samolot stanął w płomieniach. Gdy ugaszono płomienie, wyciągnięto z pod gruzów zwęglone zwłoki ojca i syna. Katastrofa wydarzyła się w obecności żony młodego Bertina, z którą się dopiero przed kilku tygodniami ożenił. Młody Bertin był bardzo zdolnym lotnikiem. Przed tygodniem odbył on półgodzinny lot z matką.

Patryotyczne Francuski. Poczucie godności narodowej i przywiązanie do ojczyzny w ostatnich czasach przybrało we Francyi wielkie rozmiary. Obecnie panie Francuskie wymyśliły sposób, w który pragną dowieść, że i one w niczem nie ustępują mężczyznom co do głębi uczucia patryotycznego. Mężczyźni już oddawna oddawają cześć sztandarowi francuskiemu przez zdjęcie kapelusza. Na kongresie kobiet uchwalono składać cześć sztandarowi przez podniesienie ręki w podobny sposób, jak to czyni się podczas przysięgi. Już od kilku dni ten wzruszający objaw patryotyzmu spotkać można w francuskich miastach z załogą wojskową.

Niezwykłe zjawisko. Z okolic Walencyi, w Hiszpanii, donoszą o niezwykłem zjawisku. Onegdaj o godz. 4 popołud. przeszedł tam olbrzymi słup ognisty, około 100 metrów wysoki. Wszystko, co napotkał na drodze, uległo zniszczeniu. Zboża i całe zagony spłonęły doszczętnie w mgnieniu oka. W odległości 200 metrów od miasteczka Alcara słup rozwiał się i zniknął nagle, pozostawiając po sobie znaczną ilość pyłu pochodzenia wulkanicznego. Jednocześnie w okolicy rozszalała się straszna burza, połączona z deszczem kamiennym. Kamienie spadały w olbrzymich masach, wyrządzając wielkie szkody. Wiele osób zostało niebezpiecznie poranionych. Przyczyny tego zjawiska dotychczas nie wyjaśniono.

Wpływ ciepłoty w Islandyi na środkową Europę. Islandya, jest to wyspa, należąca do Danii, a leżąca daleko od nas na północny zachód. Na podstawie wieloletnich obserwacyj i zapisków w Islandyi, ogłasza pewien frankfurcki uczony szereg wniosków, pozwalających przepowiadać pogodę dla Europy środkowej ze stosunków atmosferycznych na tej wyspie. Okazuje się z jego dociekań, że regulatorem pogody dla Europy środkowej jest — Islandya. Jeżeli w lecie na Islandyi przez kilka dni o godzinie 8 rano temperatura wynosi 14 stopni Celsiusza lub więcej, to dla Europy środkowoj nadchodzi kres upałów. Okazało się to dowodnie w roku 1911, w którym lato mieliśmy istotnie upalne. Ciepłota trwa w środkowej Europie stale, jeżeli na Islandyi temperatura rano przez dłuższy czas wynosi 8 lub 10 stopni. Jeżeli natomiast temperatura spadnie tam szybko o połowę, to upały w środkowej Europie trwają bardzo krótko. W tensam sposób łączą się okresy zimna u nas z temperaturą na Islandyi. Jeżeli na tej wyspie północnej przez kilka dni temperatura wynosi 6 stopni Cels. mrozu albo spada jeszcze niżej, to w kilka dni później w Europie środkowej nadchodzi okres mrozów. Gdy temeparatura na Islandyi podnosi się potem do 6, 8 albo więcej stopni, mrozy w Europie środkowej trwają długo. Jeżeli natomiast w Islandyi po mrozie temperatura podniesie się do zera, to u nas mrozy trwają bardzo krótko. Zima u nas jest zawsze łagodna, jeżeli na Islandyi temperatura przez kilka tygodni waha się między 2 stopniami mrozu a 2 stopniami Celsiusza ciepła. Na wiosnę i w jesiemi mamy w Europie środkowej stale ładną pogodę, jeżeli na Islandyi temperatura jest wyższą i wynosi rano 6 do 8 stopni Cels. Gdy na Islandyi na wiosnę i w jesieni temperatura wynosi zero stopni, w Europie środkowej mamy wiosnę i jesień zimną i dżdżystą.

Papier z trawy. W Trypolisie, w Afryce, zrobili Włosi cenne odkrycie, które przyczyni się w znacznym stopniu do rozwoju fabrykacyi papieru. Spostrzegli mianowicie, że trawa »esparto«, która w wielkiej ilości znajduje się w całej północnej Afryce od Marokka aż do Czarnego Morza, znakomicie nadaje się na wyrób papieru. Dotychczas używało się tej trawy do wyrabiania rogóżek, koszyków i powrozów, zresztą jednak nie umiano jej zużytkować. Z trawy »esparto« wyrabia się znakomitą papierową masę, a sporządzony z niej papier, bardzo gładki, nadaje się zwłaszcza na papier do fotografii. Z powodu braku wody w Trypolisie trudnoby było wyrabiać papier na miejscu, a sprowadzanie »esparta« do Włoch podniosłoby znów znacznie koszty wyrobu. Wobec tego Włosi wpadli na myśl hodować tę trawę w południowych Włoszech, gdzie znajduje się odpowiedni grunt. Podobne próby przeprowadza teraz angielskie ministerstwo kolonialne. Komuś przyszło na myśl, iż możnaby wyrabiać papier tak zwany »słoniowej trawy«, bardzo rozpowszechnionej w Ugandzie. Trawa ta dochodzi 2 do 2 i pół metra wysokości. Angielskie ministerstwo kolonialne sprowadziło wielkie zapasy tej trawy do Anglii na próbę. Papier z tej trawy jest bardzo dobry i mocny, a z powodu długich włókien trawy prawie nie do rozerwania. Ponieważ transport trawy pociągnąłby koszta, papiernie założone będą w Ugandzie.

Sąd jednonogich. Dziesięciu jednogich sędziów przysięgłych zasiadało w Edwardsville w Ameryce, w sprawie Waltera Taylor, który utracił nogę przy pracy i skarży pracodawcę o odszkodowanie na zasadzie nowego prewa stanowego. Pracodawcy ofiarowali poszkodowanemu 1700 dołarów, lecz Taylor nie zgodził na to i wytoczył proces. Pomimo, że sędziowie, sami będąc kulawymi, mogli najlepiej wstawić się w położenie kaleki, wyroku nie wydano, a natomiast wyznaczono sąd polubowy z trzech osób celem rozstrzygnięcia sprawy między Taylorem i pracodawcami.

Czternastoletnia żona. Czternastoletnia Viola Harlis wniosła skargę w sądzie buffalowskim, w Ameryce, o unieważnienie jej ślubu z Ludwikiem Harlis, który niedawno zawarto. »Cztery tygodnie pożycia, pisze Viola, przekonało mnie, że stan małżeński nie jest odpowiedni dla podlotków i dzieci. Stąd to postanowiłam się uwolnić z przyjętych obowiązków i proszę o unieważnienie ślubu z Ludwikiem, który w dodatku nie kochał mnie, bo w kilkanaście dni po ślubie już zawiązał stosunki z dawnemi towarzyszkami«. W tych słowach mieści się przekonanie owej dziewczynki, która wyszła za mąż, mając lat 14 i teraz szuka uwolnienia z węzłów, które ją krępują. Sędzia zgodził się na ogłoszenie oskarżenia i w kilku tygodniach Viola będzie wolną. Ale, dowodzi to przecie poraz już nie pierwszy, że młode dziewczęta nie powinny wstępować w związki małżeńskie, gdyż krótka radość, a smutek długi.

Okrutny czyn. Niejaka Walewska w Shenandoah, w Stanie Pensylwania, w Ameryce, dokonała zbrodniczego napadu na swego stołownika, wyparzywszy mu oczy karbolem, podczas gdy powracał o godz. 11 w nocy. Walewska była przebrana w męskie ubranie i zaczaiła się na swą ofiarę w sieni domu. Na krzyk nieszczęśliwego, nadbiegł policyant i puścił się w pogoń za uciekającą. Pochwyciwszy ją, odstawił na policyę, a stołownika z wyparzonemi oczami do szpitala. Walewska prowadziła knajpę, na założenie której pożyczyła od swego stołownika tysiąc dolarów. W ostatnich czasach potrzebował on pieniędzy i począł się o nie upominać, lecz Walewska dać mu ich nie chciała, a jeszcze na dobitek wyparzyła mu oczy, czyniąc kaleką na całe życie.

Trucizny u dzikich. W każdej części świata używają dzicy trucizn, odmiennie działających. W Afryce trucizny te działają przeważnie na serce, w Ameryce wywołują ogólne porażenie, w Azyi zaś i Oceanii powodują zaduszenie. Wogóle zaś uczeni badacze przyszli do przekonania, że dzicy w przygotowywaniu odnośnych trucizn osiągnęli drogą praktyki biegłość, jakiej mógłby im pozazdrościć każdy uczony. Przygotowanie bowiem takiej trucizny, któraby działałaby piorunująco na życie ugodzonego strzałą zwierzęcia lub wroga, nie jest rzeczą łatwą. Badania jednak naukowe w tym kierunku są wielce utrudnione, sekret bowiem przygotowywania tych trucizn znajduje się przeważnie w ręku dzikich czarowników, którzy go strzegą zazdrośnie. Wogóle można podzielić jady, używane do zatruwania strzał na trzy grupy. Do pierwszej z nich należą wyciągi z roślin trujących, do drugiej — należą jady pochodzenia zwierzęcego, do trzeciej wreszcie — żyjątka pochodzenia naturalnego. Jad pochodzenia zwierzęcego sporządzają dzicy z jadu węży jadowitych, lub z ich żółci, albo też krwi sproszkowanej. Niektóre szczepy murzyńskie w Afryce środkowej posuwają tak daleko biegłość w przygotowywaniu trucizn, że mieszają razem jad wężów z wyciągiem roślin trujących. Najlżejsze zadraśnięcie ciała, spowodowane przez strzałę, zatrutą tym jadem, powoduje śmierć w kilku minutach. Szczep zaś Ba-Kolahari, zatruwa swe strzały jadem z wnętrzności pewnego malutkiego owadu, który to jad działa taksamo, jak zastrzyknięty do krwi jad trupi. Ludy pierwotne, dochodząc do posiadania takich strasznych trucizn bez żadnej znajomości nauki, dają wymowny dowód, że drogą, opartą na doświadczeniu, można przyjść do rozwiązywania najtrudniejszych zagadnień naukowych.

Odezwa. W dniu 4 lipca 1907 r. wybuchł w gminie Kisielów, Śląsk austr., wielki pożar. Między 26 budynkami, które do szczętu spłonęły, padł także ofiarą i starodawny, bo w roku 1706 wybudowany drewniany kościółek. Był wprawdzie ubezpieczony, ale otrzymane wynagrodzenie nie wystarcza na budowę nowego kościoła. Jesteśmy w gminie już szósty rok bez domu Bożego, co nas niezmiernie boli. O własnych siłach nie możemy niestety zabrać się do budowy kościoła. Prócz szczupłych dochodów z rolnictwa nie mamy innych zarobków. Katolicy kisielowscy pukają zatem z ufnością do szlachetnych serc i proszą jak najuprzejmiej o łaskawe poparcie koło odbudowania nowego kościółka. Nie odrzucajcie nas drodzy bracia Polacy, znani szeroko ze swej ofiarności i gdzie tylko się nadarzy jaka sposobność, wybrać coś na nasz nowy kościół.

Cokolwiek drodzy chrześcijanie na dom Boży wydacie, nigdzie tego nie poznacie, a Wszechmocny Wam to stokrotnie nagrodzi; choćby najmniejszy datek od Was z największą wdzięcznością będzie przyjęty. Plany budowy mamy już wygotowane i z przyszłą wiosną chcemy budowę w Imię Boże rozpocząć. *Komitet kościelny w Kisielowie*, p. Ogrodzona, Śląsk austryacki. *Karol Stwiertnia*, przewodniczący.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Katarzyna Nawrocka w K.: Niech sobie Pani z niczego nic nie robi: ludzie, którzy nie lubią czytać, podobni są do bezrozumnych stworzeń, które tylko o jedzeniu myślą. Wierszyk dobry. — Józef Jamrozik w Ł: Za tak przyjemne słowa uznania serdeczne dzięki. Niech sobie Pan nabędzie cały rocznik z 1912 r.: oprawny kosztuje 4 Kor. — Michał Jaworski w W.: Podobne wierszyki jużeśmy czytali, więc nie wydrukujemy. Zażalenie na listonosza należy wnieść do c. k. Dyrekcyi poczt we Lwowie. — Władysław Głowiak w M. G.: Gazetę wysyłamy każdemu z prenumeratorów jak najregularniej; jeżeli nie dochodzi, ginie gdzieś w drodze a na to cóż my poradzimy? Niech Pan napisze, których numerów Panu brakuje a wyszlemy je. »Maćka Bzdury« za zaliczką posyłać nie warto, gdyż przesyłka dużo kosztuje — najlepiej przysłać z góry pieniądze. — Łukasz Dorosz w Z.: Wierszyk zupełnie dobry, więc szczerze zachęcamy do dalszej pracy. Obecnie nadesłany chętnie umieścimy.

Potwierdzenia prenumeraty.

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.:

PP.: Niedziałek Henryk z B., Wilusz Jan z K., Zimoląg Józef z K., Bigaj Piotr z L. m., Krasoń Tomasz z B., Jonik Franc. z K., Kruczek Franc. z G., Wawrzyczek Józef z K., Lebiedzik Fr. z M. K., Bąk Władysław z K., Szymon Franc. z Z., Somal Franc. z M., Chrobak Jan (syn Józefa) z B., Szczęsny Lis z F., Kordasiński Klemens z R., Zawada Franc. z T., Hędrzak Franc. z B., Filipiak Jan z K. m., Żołyniak Piotr z G., Gąsiorowa Julia na Gąsiorach z Rz. St., Zając Jędrzej z S. k. Ch., Rzeszótko Jędrzej z S. k. Ch., Morawski Bronisław z R., Ziąbek Józefa z S., Ks. Tadeusz Marekowski z Ch., Balicki Bronisław z T., Gąsior Władysław z Rz. St., Górak Michał z G., Czytelnia polska z W., Jan Mars z M., Wójcik Marcin z M., Hacuś Wojciech z I., Piotrowski Michał z W. ł., Motyka Wawrzyniec z S., Barszcz Jakób z B.

Kwartalną prenumeratę nadesłali PP.:

Puzio Antonina z W., Jaworski Edward z N. M., Krzempek Józef z P., Tabaczkowski Wiktor z Ż., Czarnik Wojciech z Sz., Wróbel Józef z S., Marszałek Jan z Z., Zemlik Franc. z M., Gąsior Anna z B., Stypuła Karolina z T. d., Stankiewicz Antoni z R. r., Michał Zastawny z R. r., Pietryka Michał z B., Talaga Michał z G., Gliwa Wojciech z D., Hryszko Dmytro z Sz.

Oprócz tego nadesłał P. Chaja Piotr z K. 4 Kor.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 22 lipca:

Pszenica	Kor.	10·90	do	11·30	za 50 k
Żyto	„	8·90	„	9·40	„
Jęczmień	„	8.85	„	9·35	„
Owies	„	9·25	„	9·75	„
Otręby pszenne	„	5·45	„	5·65	„
Otręby żytnie	„	5·45	„	5·65	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 22 lipca:

Buhaje	Kor.	140	do	300	za sztukę
Woły	„	300	„	400	„
Krowy	„	140	„	200	„
Jałówki	„	130	„	190	„
Cielęta	„	30	„	98	„
Owce i kozy	„	—		—	„
Świnie bita waga)	„	170		178	za 50 kg.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy

Zagadki do nagrody.

1. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożył Franc. Filek).

A, a, a, był, ciel, czwar, dem, dla, do, gdzie, i, ja, je, jest, już, już, któż, krwa, lo, łał, ma, mu, mur, na, na, na, na, ni, nie, nie, ny, o, od, paszcz, padł, pułk, przy, rem, rzeź, się, siąc, sław, słał, strzał, szy, szych, świa, wa, wszczy, zdzia, zie, zwa.

Z powyższych sylab ułożyć jedną zwrotkę »pieśni narodowej« z pamiętnego roku 1863.

2. SZARADA.

(Ułożył Franc. Filek).

Trzecie, drugie, pierwsze, pierwsze, drugie, trzecie,
Myślę, że o tem wszyscy dobrze wiecie,
Bo gdy cała do kraju wpadnie,
Wtenczas zbiera ludzi gromadnie.

3. PRZESTAWIANKA.

(Ułożył Franc. Filek).

A, a, c, c, ć, d, d, d, e, e, e, ę, g, h, h, i, i, i, j, m, m, o, o, o, o, p, p, r, r, t, w, z, z, z, z, z, z, ż.

Z podanych liter ułożyć zdanie czy przysłowie, które się bardzo dotyczy rozrzutności.

4. SZARADA.

(Ułożył Franc. Filek).

Wstecz pierwsza, wprost druga coś warta,
Bo do oświetlenia służy,
Druga z drugiej, trzecia czwarta
Obszar świata duży.
Całość, gdy człowieka obejmuje,
Honoru też nie ujmuje,
Albo gdy się kiedy zdarzy,
Mówią o niej młodzi, starzy.

5. SZARADA.

(Ułożył Franc. Filek).

Pierwsza druga napotka każdego,
Gdy nie usłucha rozkazu trzeciego drugiego,
Drugie trzecie miasto znane,
Czwarte trzecie sklepienie nazwane.
Całość dawniej lepiej znana,
Podróż przez kupców nazwana.

6. ZAGADKA.

(Ułożyła Ira Kolmanowska).

Jesteśmy w zimie, jesteśmy w lecie:
W zimie przed nami trwogę czujecie,
Za to ze smakiem w lecie nas jecie!

7. ZAGADKA.

(Ułożył Jan Malinowski).

Mam trzy głoski cała,
Z końmi się zbratała,
Od nich ma też wszystko
I swoje nazwisko
Daj tu na początku
Tylko jedną zgłoskę,
Siedzi panna w kątku,
W murach chowa troskę.

8. ZAGADKA.

(Ułożył Jan Malinowski).

Jam stary książę, com miasto założył,
Lecz gdy się wspak przewrócę,
W cóż ja biedny się obrócę?
Otom ja tego na świecie tu dożył?
Że głową kręcę na lewo i prawo,
Cóż więc ja znaczę? Odgadnijcie żwawo!

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania pięknie oprawną książkę.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 2 sierpnia 1913 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 28 »Roli«: 1. Trójkąt: **Bogarodzica**, 2. Figiel: **Uciecha**, 3. Szarada: **Pocztylion**, 4. Trojkąt: **T, ta, tata, Tatar**, 5. Szarada: **Bronisław**, 6. Zagadka: **Beczka i konewki**, 7. Szarada: **Azya**.

* * *

Rozwiązań nadeszło do 20 lipca tylko pięć i to wszystkie tylko częściowo dobre. Wszystkich zagadek nikt dobrze nie rozwiązał, przeto i nagrody nikt nie wylosował.

* * *

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego